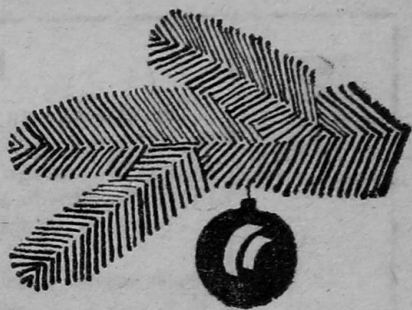


Niech nam nadzieja z gwiazdką nie zgaśnie.
Nigdy bowiem nie jest tak źle, żeby nie mogło
być lepiej. Pewnych kontaktów w życiu prywat-
nym i służbowym życzy wszystkim Czytelnikom
pół „Kontaktów”.



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

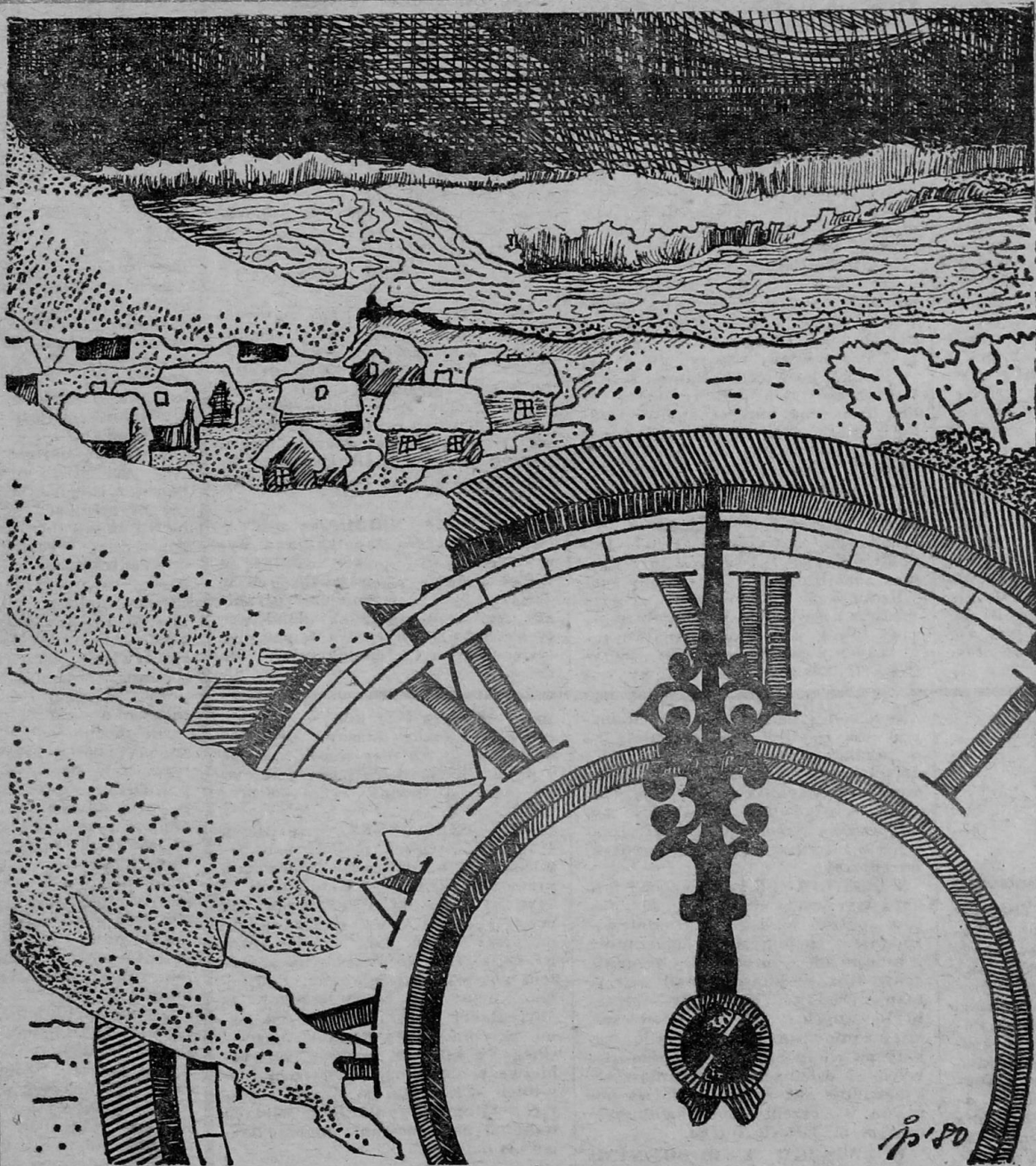
27

KONTAKTY

18 XII 1980

— 41 1981

Cena 6 zł



Grafika JERZEGO SWOŃSKIEGO

tylko w taki wieczór

Niebo zaryglowane
gdy uchyli się obłok
wypadnie oczekiwany
jasny promień
przeniknie mroczne zakątki
naszych lęków
drgających — zakłóconą
muzyczną frazą

wyznaczy granice
między dobrem i złem

w taki wieczór
powraca wszystko
co zastyga
w mrokach pamięci

błysk minionych lat
odbija się w oczach dziecka

odrzuca się możliwość
zbudowania spokoju
od nowa
starannie dobierając
słowo do słowa
w milczeniu
oddech osiada
na igliwiu

w płomieniu świecy
światło
w taki wieczór jest możliwością
prawdy
niosącej z sobą
spokój

kolęda nabożnie
rozplywa się po wnętrzu
wokół choinki

w ozdobach potyskuje
ukryty cień
tego czego nie można
zapomnieć
z tego lata

w barwionych światłach
prostują się świeczki
rozdroży mijającego roku

Grudzień, 1980

JAN KULKA

szlacheckie ostatki

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI

— Tu ich znajdziesz — mówi pan Staszek i jedzie palcem od Kolna przez Łomżę, Zambrów i Wysokie Mazowieckie do Ciechanowca, a potem w górę, wzdłuż granicy, która oddzieliła Ziemię Łomżyńską od Ziemi Białostockiej w dniu stworzenia województw.

Panu Staszekowi wierzę, bo wiem, że szlachcic; a wiem od czasu, kiedy po wstępnych karesach spytałem bez ogródek: „A ty czasem nie szlachcic?” Ślachcic — rozbił pan Staś termin na sylaby i dodał z przyciskiem: ta bo co? I nie c z a s e m, tylko od wschodu do zachodu słońca i z powrotem”. Twardo jakoś zabrzmiało z tym twardym „słonce”, które pan Staszek wymówił bardzo ironicznie. Tak chyba powinno się wymawiać gombrowiczowski palic, przy jego chichach-śmichach z panów hłabłów. Pojąłem w czym rzecz: verbum nobile z dystansem do chłopskich słonec.

CIĄG DAŁSZY NA STR. 8-9

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

Wkrótce (31 XII br. decyduje data stempla pocztowego) upływa termin nadsyłania prac na nasz konkurs „Pamiętnik Nastolatka”. Pęczniesz redakcyjna poczta. Otrzymujemy coraz ciekawsze pamiętniki młodych z całego kraju. Martwi nas jednak niewielki — jak dotąd — udział w konkursie uczniów szkół ponadpodstawowych i ich pracujących rówieśników z województwa łomżyńskiego.

Pozostaje już mało czasu. Radzimy pospieszyć się. Jeszcze raz zachęcamy, namawiamy, zapraszamy. Redakcja „KONTAKTÓW”



W ŁOMŻY w 32 rocznicę zjazdu zjednoczeniowego PPR i PPS odbyło się spotkanie członków Sekretariatu i Egzekutywy KW PZPR z weteranami walki i pracy. Zamieszczamy fragmenty wypowiedzi uczestników spotkania, których wspólnym motywem była wierność ideałom walki o socjalistyczną ojczyznę i jej pomyślność oraz wiara w zwyciężenie obecnego kryzysu. STEFAN SOKOŁOWSKI, prezes ZW ZBoWiD: „Jest w naszym województwie ponad pół tysiąca żołnierzy demokracji — byłych członków KPP, PPR, PPS, bojowników z GL, BCH i AL. Wszyscy ci ludzie pozostali takimi jak ponad 35 lat temu, gotowi do poświęceń, zaangażowani, uczciwi. Mają oni czyste ręce, nie zbrukali ich. Bolesne są dla nas sprawy wewnętrzno-partyjne. Są to jednak nasze rodzinne sprawy i sami potrafimy wyprowadzić partię z zakreśtu. To nieprawda, że komuniści zdeprawowali naród. Trzeba bronić naszych ideałów, oczyścić je i pokazywać dzieciom i wnukom, gdzie są prawdziwe przyczyny naszego kryzysu”. WŁADYSŁAW NITA: „Bez strachu walczylismy o wolną Polskę, głodni i bosi odbudowywalismy ją z ruin. O takich ludziach powinno się pamiętać, trzeba im dodać otuchy. Ponderowano nam teraz opinie, powinno się to wyjaśnić. Jednak nikt z nas z partią się nie rozstaje, chyba że pójdziemy na »drugą stronę«”. HENRYK WIŚNIEWSKI: „Nikt z nas kariery nie zrobił. Ale w nasze szeregi wstępowało także tylko dlatego, żeby awansować. Na takich ludzi nie możemy liczyć, trzeba ich usuwać. Nie powinniśmy kapitulować na wszystkich frontach, gdyż nie możemy wpaść w siebie samych. To co mamy, wypracowaliśmy własnymi rękami, nie nam z nieba nie

spadło”; TADEUSZ OLEJNICZAK: „Zarzuca się nam teraz, nawet wśród najbliższych, jacy to ludzie trzydziści parę lat temu wstępowali do partii. A ja mam w domu książkę z rejestrem poległych partyjnych. Jest ich tam ponad siedem tysięcy. Tacy ludzie byli w partii! W obecnym, najtrudniejszym okresie nie było naszej organizacji partyjnej, sekretarze chodzili skołowani. Powinno to być dla nas gorzką lekcją”; JAN BRODZIK: „Elementy nam wrogi miały dobry grunt do działania. Dlaczego takie warunki im dano? Dzisiaj, gdy mówimy »odnowa« trzeba powiedzieć na czym ma ona polegać. Niech każdy przystąpi do swojej pracy. A nie jak to jest obecnie, że rolnik stoi z tabołąmi w kolejce przed sklepem, a urzędnicy w biurach na niskich fotelach zaczynają pracę od sporządzania herbatki”; JAN DZIENISLUK, przewodniczący WKKP: „Samozapamiętywanie wydarzeń ostatnich 10 lat nie wpłynie na szybsze wyjście z kryzysu. Każdy powinien się zastanowić, jakie zrobił błędy i co sam może uczynić, żeby było lepiej. Nasze kierownictwo popełniło błędy, także szereg instancji partyjnych. Część tych win wynika ze słabości ludzi. Trzeba je rozliczyć wewnątrz partii. Natomiast te winy, które wynikają z chęci zysku muszą być ukarane z całą konsekwencją, do samego końca. To się robi”; WALDEMAR SZPALIŃSKI, I sekretarz KW: „Gdy przed laty potrafiliśmy zyskać dla sprawy socjalizmu społeczną akceptację, to głównie poprzez swoją postawę — nie brakowało wtedy odwagi, gotowości do walki, poświęceń. Potrzeba tego i teraz. Gdy dziś pytamy się co robimy, by nie powtórzyć błędów mających tak ciężkie skutki, to należy wrócić do tych najważniejszych wartości komunistów. Potrzebny nam jest nowy duch, krytyka i samokrytyka, demokracja, z której kiedyś przecież korzystaliśmy. To nieprawda, że wszystko co było jest niedobre, złe. Tak mówią przeciwnicy socjalizmu. Złe były błędy socjalizmu a nie on sam. Oczyszczając partię z balastu przyjęliśmy dwie zasady — nie ma spraw i tematów zakazanych oraz nie ma ludzi nieetykalnych. Dlatego ruch odnowy jest

wielką szansą dla partii”. WALDEMAR SZPALIŃSKI przekazał zebranym weteranom życzenia wszelkiej pomyślności i zdrowia w nowym roku.

POSTAWY MORALNE członków partii były tematem obrad Egzekutywy KW PZPR. W Łomżyńskim, Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej rozpatrzyła w IV kwartale — jak poinformował jej przewodniczący — 78 różnych spraw (w tym 17 dotyczących przestępstw gospodarczych), nadając im właściwy bieg. Komisja rozpatrywała i rozpatruje skargi, których napłynęło 31. Przewiduje się, że do 15 stycznia zakończy się badanie wszystkich wymagających wyjaśnienia spraw mieszkaniowych i budowlanych (budowa domków jednorodzinnych i letniskowych, podwójnych mieszkań oraz zakup działek o wartości ponad 100 tysięcy złotych. W drugim punkcie obrad Egzekutywa przyjęła uchwałę uwzględniającą wnioski i postulaty zgłoszone podczas ostatniego Plenum KW oraz rozpatrzyła tryb i zasady powołania do życia Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej.

PROBLEMEM WYCHOWANIA młodzieży poświęcono szczególną uwagę na plenarnym posiedzeniu Zarządu Wojewódzkiego Zrzeszenia Prawników Polskich w Łomży. Zobowiązano Prezydium ZW do powołania zespołu w celu bardziej aktywnej i odpowiadającej zapotrzebowaniu społecznemu popularyzacji prawa.

WŁADZE OSTROŁĘKI zwracają się do sympatyków miasta i do instytucji z prośbą o nadsyłanie materiałów i dokumentów związanych z ludźmi i sprawami tego nadnarwiańskiego grodu. Z pamiętek i materiałów powstanie księga pamiątkowa Ostrołki. Dokumenty można nadsyłać do Wydziału Ogólnego Urzędu Miasta, Plac gen. Bema 1, tel. 39-49.

RKK NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” w Grajewie podczas spotkania z dyrektorem WSS „Społem” ustaliła, że wobec braków zaopatrzeniowych w słodycze i cytrusy „Społem” ograniczy częściowo sprzedaż detaliczną tych artykułów by przygotować pięć tysięcy paczek choinkowych dla dzieci.

świadceń rzemiosła wobec odbiorców jak również dalszych ułatwień w zaopatrzeniu w materiały. To wszystko powinno stworzyć także niezbędne warunki do przejęcia przez usługi, uspołecznioną drobną wytwórczość i rzemiosło ludzi zwalniających z innych działań gospodarki narodowej.

Z POWODU BRAKU węgla i mazu wygaszono całkowicie 70 pieców spośród 91, jakimi aktualnie dysponuje przemysł cementowy. Zmniejszenie produkcji cementu spowoduje w konsekwencji zatrzymanie produkcji elementów prefabrykowanych dla budownictwa mieszkaniowego oraz zahamuje roboty na wielu budowlach przemysłowych i osiedlach mieszkaniowych. Przewiduje się, że wyraźniejsza poprawa w przemyśle cementowym nastąpi w połowie lutego.

W ZWIĄZKU Z OGROMNYMI trudnościami, z jakimi boryka się energetyka, zwrócono się do całego społeczeństwa z nagłą prośbą o ograniczenie zużycia prądu do niezbędnego minimum, szczególnie w godzinach szczytu tj. od godz. 6.00 do 8.00 i od 16.00 do 21.00.

NAD BUGIEM I NARWIĄ utrzymuje się sytuacja alarmowa w związku z wysokim stanem wód. W woj. ostrołęckim woda zalała ponad 30 tys. ha użytków rolnych, a w woj. siedleckim wtargnęła do 23 wsi.

W DRUGIEJ POŁOWIE numeru „Polityki” (pierwsza ukazała się z opóźnieniem) zamieszczona jest wypowiedź z cyklu „Moje lato '80”: „A teraz pozostał żal i gorzyc. Bo przez lata oszukiwani, nadal jesteśmy tym kim byliśmy — roboczym bydlęciem. Nie mamy nic do powiedzenia, bo nie znamy się na tym czy innym problemie. Za nas — jak

przez te wszystkie lata — mówią istniejące jeszcze klasowe związki oraz NSZZ. Ale czy konsultują się z nami? Po co, skoro jesteśmy cieniem masą, stworzoną tylko do pracy”.

POP PZPR PRZY placówkach PAN w Gliwicach podjęła uchwałę w sprawie niezwłocznej interwencji przez KW PZPR w Katowicach i Wydział Nauki KC PZPR w sprawie rozstrzygnięcia sporu, ciągnącego się od przeszło 10 lat, między tow. Franciszkiem Morawskim a resortem górnictwa węglowego. Podstawą uchwały (zamieszczoną w „Przeglądzie Technicznym”) jest pismo skierowane do Stefana Olszowskiego, z którego wynika, że górnictwo poniosło na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat straty sięgające kilkuset miliardów złotych wskutek podejmowania nieprzemysłanych decyzji.



rys. JERZY SWOIŃSKI

dwa tyki ekonomiki



Czy stać nas na przełom

Koniec roku skłania do podsumowań, do snucia refleksji, formułowania życzeń. Chciałoby się przy świątecznym stole, przy noworocznym toaście mówić o czymś miłym, tchnąć w siebie i innych optymizm. Czy w rozmowach jest to możliwe? Czy obraz naszego rynku, informacja o zakłóceniach w pracy transportu, energetyki, przemysłu — u-poważniają do pozytywnych ocen i refleksji?

Sądzę, że stać nas na optymizm. Po pierwsze, podsumowując rok bieżący nie czynimy tego mechanicznie. To nie był jeden rok, to były dwa różne okresy. Ten do sierpnia i drugi, właśnie optymistyczny, po porozumieniach. Wkroczyliśmy na tor socjalistycznej odnowy i uważamy ją za proces nieodwracalny, za podstawowe credo partyjnego i wszelkiego społecznego działania.

Paradozem jest jednak, a życie jak wiadomo niesie ich niemało, że właśnie w okresie posierpniowych trudności naszej gospodarki ujawniły się z całą siłą i jest ona w stanie kryzysowym. Zbieramy teraz niechlubne owoce woluntaryzmu lat poprzednich, rozregulowanie systemu centralnego sterowania gospodarką, lekceważenie oddolnych inicjatyw. Metodą „uszczelki” jakoś to szło, ale gdy przyszło do rzeczowych rozliczeń, do sformułowania rzeczywistych planowych zadań, gdy robotnicy upomnieli się o swoje prawa do pracy i do odpoczynku — załamanie stało się nieuchronne.

Nie można jednak patrzeć na naszą gospodarkę przez pryzmat trudności dnia dzisiejszego. Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: czy pomimo olbrzymiego zadłużenia i błędów przeszłości stać ją na normalny rytm pracy, na dzwignięcie się z kłopotów, na przełom? Odpowiadam, że tak! Jest siła, której można ufać, która nie zawiedzie. Ta siła jest klasa robotnicza i wszyscy ludzie pracy, którzy, ubrojeni w autentyczne motywacje ekonomiczne i moralne, są w stanie przełamać narosłe kłopoty. Ta siła jest mądra strategia partii, która ujawniła się na VI i VII Plenum KC, a która w sposób rozwinięty i skonkretyzowany, w postaci programu gospodarczego powinna być sformułowana na IX Nadzwyczajnym Zjeździe. Nie ludźmi się jednak. Poprawa nie nastąpi z dnia na dzień, nikt nie może z założonymi rękoma czekać na cud. Potrzebna jest do tego praca i moja, i twoja, nasz wspólny trud, nasza wspólna inicjatywa i chęć, nasza ogólnospołeczna mądrość i rozważa. Plan na rok przyszły przedstawiony w Sejmie będzie przedmiotem konkretnych dyskusji w zakładach produkcyjnych. Tam, przy szerokim udziale samorządów robotniczych powstaną obowiązujące załogi dokumenty. Musi to być przede wszystkim plan na miarę możliwości, chociaż na pewno nie będzie on jeszcze planem na miarę naszych ambicji.

Nie namawiam do cierpliwości, do pogodzenia się z tym co jest. Ale w świątecznym toaście proponuję nie zapomnieć o pomyślności dla naszej gospodarki, a tego bez szerokiego udziału dosłownie wszystkich nie da się osiągnąć.

JERZY BIELECKI

W naturze Polaków tkwi głęboko, by w chwilach niespokojnych, przełomowych w życiu narodu i kraju popadać z jednej skrajności w drugą — z nadziei w z wątpienia, ze z wątpień w nadzieje. Mieliśmy także chwile w naszej historii i w latach ostatnich — w roku 1956, 1970 i teraz. Chcielibyśmy rozpoznać, widziany poprzez pryzmat oso-

bistej refleksji, stan nastrojów społeczeństwa, pokazać je na tle najważniejszych problemów naszego kraju. O wypowiedzi na ten temat zwróciliśmy się do polityków, twórców, naukowców i działaczy gospodarczych. Dzisiaj zamieszczamy pierwsze z nich.

Doc. dr Andrzej Piekara, dyrektor Instytutu Nauk Społecznych WSI w Radomiu

linie podziału

W mojej odpowiedzi przez dylemat rozumiem sytuację, w której istnieje alternatywna możliwość wyboru kilku rozwiązań trudnej sytuacji, a każde z tych rozwiązań nie może być w pełni zadowalające. I co gorsza — rozwiązania te zawierają w sobie potencjalne skutki, których walory społeczne (pozytywne lub negatywne) trudno w pełni i do końca przewidzieć. Tak przecież wiele nie od nas zależy...

Mam przeto nadzieję, że ogromny LUDOWY ruch odnowy w Polsce będzie się rozwijał, że doprowadzi on do pełnej AUTENTYZACJI socjalizmu w mojej Ojczyźnie.

Ale równocześnie boję się, że procesowi USPOŁECZNIANIA władzy i własności oraz przywracania socjalistycznego systemu wartości w naszym życiu społecznym (równość, wolność, sprawiedliwość) staną na przeszkodzie ludzie, którzy poculi się w minionym okresie właścicielami Polski Ludowej. W tym polskim nierządzie, który z ich woli i winy powstał mogli oni swobodnie (bo brak było rzeczywistej opinii publicznej oraz społecznej kontroli i odpowiedzialności) uprawiać swą prywatę. Na tę prywatę składały się nie tylko wysokie i łatwe zarobki, przywileje, przysłówowe już wille-pałacyki budowane społecznym kosztem, lecz także — komfort nieodpowiedzialności, łatwość awansu i zaszczytów za cenę prostackiego sprytu, posłuszeństwa i przeciętności. W skład tej prywaty wchodziły także pochlebstwa i klaka, tak mile podniecające miłość własną, przeistaczającą się z biegiem czasu w pychę i pogardę dla prostego człowieka. Tak łatwo stało się „KIMS”. Świadomość tworzenia i należenia do ELITY oraz czerpania stąd wiadomych korzyści stały się specyficznym STANEM POSIADANIA. Na gruncie i wokół tego stanu posiadania powstała specyficzna grupa ludzi, którą jednoczy wspólna mentalność, podobieństwo kariery, wspólnota interesów, a nade wszystko lek przed odnową, przed demokracją, przed opinią publiczną, przed odpowiedzialnością, przed bankructwem. Grupa ta, choć nie jest klasą, wykazuje pewne cechy i zachowania klasopodobne. Szczególnie w zakresie OBRONY SWEGO STANU POSIADANIA. Ma ona wiele wspólnego z mentalnością i postawami klasycznego mieszczaństwa, a nawet niegdysiejszej naszej magnaterii.

Mechanizmem obrony stanu posiadania, będącego przywilejem wyobcowanej ze społeczeństwa grupy, która w sposób nielojalny wobec reszty społeczeństwa gromadziła swój materialny i polityczny kapitał, naruszając prawo i normy moralno-polityczne, posiada pewne wspólne prawidłowości. Otóż, mechanizm ten jest zawsze (w każdej współczesnej formacji!) wymierzony przeciw demokracji, przeciw humanistycznemu (socjalistycznemu) systemowi wartości, przeciw UPORZĄDKOWANIU. Demokracja bowiem uniemożliwiła zajmowanie uprzywilejowanych pozycji, a co gorsza — doprowadziła do zdemaskowania nieautentycznych, niekiedy wręcz przestępczych karier i majątków. Humanistyczne ideały zaś, stanowią ideologiczną i polityczną barierę dla tego, aby być równiejszym wśród równych, aby oszukiwać, kraść i wyzyskiwać, aby kłamstwem i mistyfikacją ideałów manipulować społeczeństwem. Uporządkowanie, wreszcie wprowadza jasne sytuacje, autentyczne i rzetelne kryteria oceny i także mechanizmy awansu; liczy się i oblicza wtedy jawnie i zgodnie z deklarowanymi zasadami; wówczas dwa razy dwa jest cztery, a nie tyle „ile życzy sobie pan kierownik”, balagan, sobiepaństwo, prywatność, marnotrawstwo i złodziejstwo nie są nazywane enigmatycznie jako „tu i ówdzie występujące naruszenia norm moralnych i politycznych”, ale widzi się je jako zjawisko o takim zakresie społecznym, jaki rzeczywiście ma miejsce. Wtedy zachowanie mieszczańskie się w ramach tego rodzaju zjawiska nazywa się jednoznacznie, po imieniu: przestępstwem, karygodną głupotą lub lekceważeniem obowiązków, lekceważeniem faktów i opinii, bądź wreszcie zdradą ideałów i narodowych interesów. A za to się ODPOWIADA i to zazwyczaj — surowo.

Dlatego obrona stanu posiadania — to walka nie tylko o utrzymanie dotychczasowej pozycji materialnej, to walka o dużo więcej. Tu można wygrać lub przegrać WSZYSTKO. Obrona wobec tego nie będzie przebiegać w środkach (i nie przebiega), tu każdy chwyt, nawet najpodlejszy będzie użyty. Oszczerstwo, prowokacja, zacieranie dowodów, przekupstwo, szantaż to tylko niektóre chwytły. Doświadczenie historyczne uczy, że magnateria ratując swą prywatę i przywileje gotowa i ojczyźnie sprzedać. Niech to nie przestaje być dla nas groźnym memento.

Czy wobec tego powinniśmy w obawie przed kontrakcją tej REAKCJI NOWEGO TYPU, zahamować i ograniczyć proces odnowy? Czy zamiast chirurgicznych cięć ograniczyć się do stosowania środków łagodzących ból, do przylepienia przyszłowiowych plasterków w miejsce zgnilizny, którą ogniem wypalić by należało?

Otóż uważam, że proces odnowy będzie kontynuowany, ale pod warunkiem, że obok naszych cech narodowych, jakimi są patriotyzm, umiłowanie wolności, sprawiedliwości i prawdy, połączone z bohaterką gotowością do obrony tych ideałów, nawet za cenę życia, pojawi się na trwałe cecha, która już tak okazała się w pełni napięta dniami sierpniowo-wrzesniowych; cecha roztropności i racjonalności politycznej. Jest ponadto rzeczą niezwykle ważną, że za ruchem odnowy stoi nie jakaś tylko wąska postępową grupą społeczną (np. inteligencją) a przeciwnie — ruch odnowy w Polsce jest uosabiany przez miliony ludzi pracy, a w tym — i przede wszystkim — przez siłę najbardziej społecznie znaczącą, przez siłę najbardziej ludową — przez klasę robotniczą.

Dlatego oburzają mnie i lękam — przed prowokacją ze strony reakcji — napawają poglądy, jakoby w Polsce doszły do głosu w sposób niebezpieczny siły antysocjalistyczne zagrażające socjalizmowi w Polsce i bezpieczeństwu europejskiemu. Zachodzi pytanie: komu i dlaczego zależy na tym, aby przeciwnie socjalizmowi treści zjawisk marginesowych, nie mających szerokiego oparcia społecznego w Polsce przypisywać ludowo-socjalistycznemu ruchowi odnowy życia społeczno-politycznego i gospodarczego? Przecież NIE TO jest istotną cechą aktualnej sytuacji w Polsce. Za socjalizmem w Polsce są miliony ludzi pracy, jest klasa robotnicza, a przeciw — garstka z marginesu życia społeczno-politycznego.

Kto tego nie widzi — krzywdzi Polskę, krzywdzi polskie masy pracujące. Kto zaś nie chce tego widzieć i nie chce zrozumieć rzeczywistego sensu aktualnych przemian społecznych w Polsce wykazuje złą wolę i nieprzyjazne dla nas stanowisko.

Wacław Redliński, wicewojewoda łomżyński

pracować na nowe plony

Wiele może być przesłanek polskiego buntu, najważniejszą jest chyba protest przeciw wynaturzeniom w formach sprawowania władzy, przeciw skostniałym systemom ekonomicznym i efektem działań wynikających z ich wprowadzenia.

W pewnym sensie tragiczne jest to, że frustrację przeżywało wielu ludzi reprezentujących władzę, chociaż to właśnie przeciw niej skierowany był główny nurt protestu. Większość z nich dostrzegała niemoc i bezład funkcjonowania struktur społecznych i gospodarczych, wiedziała, że jest źle, ale nie znajdowała w sobie sił zdolnych do dokonania autonaprawy. Musiały więc zadziałać siły z zewnątrz tych struktur. I zadziałały.

Stoiśmy teraz przed wielką szansą. Czy ją do końca wykorzystamy? Odpowiedź nie jest prosta. Optymizm przepłata się z pesymizmem. Ile to razy w historii stawał naród przed taką szansą? Ile razy ją wygrywał, a ile przegrywał?

Przed wszystkim powinniśmy zastanowić się nad tym jaki jest stan świadomości społecznej, jakim jest polskie społeczeństwo. Decydenci powinni zdawać sobie sprawę z tego, co może usatysfakcjonować Polaka. Bez tego znowu dołączamy się do sytuacji, kiedy usłyszymy — „Chcielibyśmy dobrze, ale Oni nas nie rozumieją”. W tej chwili najważniejsze są problemy ekonomiczne. Im szybciej opracujemy i wdrożymy system ekonomiczny, zrozumiały i logiczny dla każdego, tym bliższy będzie termin wyjścia z kryzysu. Nie można jednak wprowadzać go bez kompleksowej regulacji cen, a to związane jest również z odpowiednią regulacją płac. Trzeba jak najszybciej wyeliminować bezsensowne układy cenowe jakie występują w gospodarce żywnościowej. Nie może być takich sytuacji, kiedy wysokoprotetwowane artykuły zbożowe (np. kasza) są tańsze od paszy. Musimy tak ukształtować relacje między cenami na żywność a płacami, żeby żywność zaczęła być szanowana, oszczędzana, żeby każdy kawałek chleba, każdy litr mleka był przeznaczony na spożycie, a nie trafiał do kosza na śmieci czy do zlewu.

Kiedy gospodarstwo rolne osiąga klęskę nieurodzaju, rolnik skrzętnie liczy wszystko to co ma, zaciska pasa i pracuje na nowe plony. Jego pracy towarzyszy wiara w dobre zbiory za rok i ona jest motorem jego działania. Nieurodzaj wystąpił nie tylko w rolnictwie, ale tak jak rolnik musimy wszyscy mieć nadzieję na lepsze zbiory.

Ks. prof. Antoni Boszko, Wyższe Seminarium Duchowne w Łomży

a gdzie ojczyzna

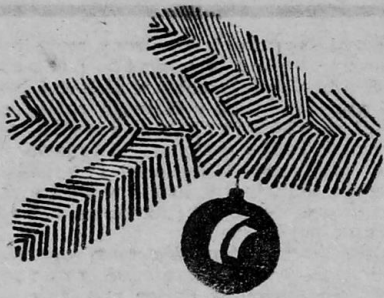
Bardzo zaważyły na naszej umysłowości te ostatnie lata. Tak trudno o autentyczną wartość. Do tej pory o prawdach wolimy mówić z rezerwą. Bo za co nas rozliczono? Właśnie za prawdę. Więc przemilczaliśmy to, co słuszne, żeby nie powieszono nam na plecach tabliczki — „Wróg Polski Ludowej”. Mówiono nam — naród, z narodem, dla narodu. Werbalizm. Nic poza nim. A gdzie ojczyzna? Ta naprawdę odczuła. Nie dyskutuję nad kierowniczą rolą partii, ale przecież z każdą ponadjednostkową decyzją wiąże się pytanie o autentyzm miłości do ojczyzny. Bo co jest jej przedmiotem? Nie drzewa, kwiaty, ptaki ale ludzie. Czy nam zależy na ojczyźnie, ludziach? W wielu sercach może rodzić się wątpliwość: co będzie dalej, co się stanie, gdy ktoś nagle powie: „Dostę tego otwarcia”. Co się stanie, gdy znowu zechce się wepchnąć nas do tej nory, z której dopiero się wychylił? W której nic nie widzieliśmy? Bo co można widzieć w ciemności? Ludzie jednak zbyt długo tłumili swój wewnętrzny bunt, zbyt długo upominali się o prawdę, żeby teraz mogli z niej zrezygnować. Tylko jak dojść do czegośkolwiek, jeżeli wśród nas samych zabrakło zaufania, jeżeli patrząc na innych nie potrafimy uwolnić się od tego spojrzenia retro: „Gdzie panowie byliście przedtem?”

Bardzo łatwo jest oczywiście za postępowanie kilku, kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy, krytykować wszystkich. Ja to odczuwam jako zgrzyt, wewnętrzny protest. W większości ludzie znów stracili wiarę w jeszcze jeden autorytet, a wiedzą, że w okresie, w jakim żyją, nie jest łatwo o inny. Ale mimo wszystko mają nadzieję, bo w gruncie rzeczy trudno wyobrazić sobie, by mogło być znowu tak, jak było do tak niedawna.



penetracje





radość wszelkiego stworzenia

W kronikach zapisano: „Rzymianie [...] pierwszy dzień każdego miesiąca nazywali calendae. Stąd i początek roku, czyli Nowy Rok tym słowem nazwano, a obchodzono go świętem hucznym i wesotym. W wiekach średnich Nowy Rok zaczynał się 24 grudnia. Tradycje Rzymu przejęli więc Francuzi (La Kalende) i Polacy i Rusini, gdzie w czasie świąt Kolady posyłało sobie upominki. Podobno miał się tak też nazywać jakiś bożek, czy bogini, czczona 24 grudnia”.

W Polsce samą uroczystość pożegnania starego i powitania Nowego Roku nazywano „Godami”. Jej tradycja sięga czasów pogańskich. Ale oddajmy głos znawcy przedmiotu.

„W Polsce, gdy przyszedł Gody — pisał Zygmunt Gloger — nie było końca najrozmaitszym zabawom, powinszowaniom, podarkom, przebieganiu za Żydów, Cyganów, niedźwiedzi, kozy, tury, chodzeniu po domach ze śpiewem koled, z wilkiem żywym, a w braku takowego, z chłopcem przebranym w wilczą skórę. Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli świętowano wieczory, które dotąd lud w wielu okolicach »świętymi« nazywa. Przez całe wieczory śpiewano koledy o narodzeniu Chrystusa Pana, proste, naiwne, piękne. Chodzono z szopką, czyli jasełkami, z »gwiazdą« itd. Dotąd w wielu stronach młodzież, przebrana za Heroda, jego hetmana, żołnierzy, śmierć i diabła, przedstawia scenę z podań Pisma Świętego.

Piękną rozprawę o pieśniach koledowych napisał Stanisław Tarnowski, a także książkę Stanisław Jamiołkowski. O koledzie polskiej powiada Tarnowski, że jest ona pieśnią religijną, ale prawie nigdy modlitwą. Nie mówiąc o tych, co mają charakter więcej świecki, a nawet humorystyczny i po kościołach nie śpiewają chyba że przez nadużycie organisty, bo się tam śpiewać nie powinny. Najważniejsze, najpobożniejsze, które się słyszy zawsze przy uroczystej chwili błogostawieństwa Przenajświętszym Sakramentem, te nawet nie są naprawdę, a przynajmniej nie są całe modlitwami, ale opowiadają, że »Anioł pastercom mówił« lub pytają »Któż pobieży koledować małemu«. To jest charakter główny koledy, to jest podstawa, a z tej dopiero wyrosły różne jej rodzaje i formy [...] lud sam mógł na tę grupę pieśni kościelnych wpływać bardzo silnie i zupełnie ją po swojemu przerebić. [...]

Kto przyglądał się uważnie koledzie, ten musi dostrzec, że jej właściwym przymiotem i największym wdziękiem, samą jej istotą, jest ta poufalskość naiwna, z jaką mówi o narodzeniu Pana Jezusa [...] Ten koloryt lokalny polski, nadany scenom betlejemskim, to jest cały wdzięk naiwności koled, a poufalskość, prostota i rozrzućwienie, z jakim te sceny są opowiadane, to jest ich piękność wyższa i wewnętrzna. Ci pasterze zbudzeni przez aniołów i śpieszący do owej szopki, to są polskie parobki, ta szopka jest taka sama, jak każda stajnia przy wiejskiej naszej zagrodzie, i kto by dzieje Nowego Testamentu znał tylko z koled, ten

mógłby myśleć, że Pan Jezus urodził się gdziekolwiek w Polsce, w pierwszej lepszej wsi, bo każda jest podobna jak dwie krople wody do tego Betlejem, jakie jest w koledach. Żyje w nich cały ten wiejski świat, ze swoimi zwyczajami i stosunkami, uczuciami i sposobem mówienia. A ta wielka oryginalność, ta ze stanowiska literackiego największa wartość koled, jest skutkiem tego, że one nie były samą tylko czystą modlitwą, ale i opowiadaniem. Każda koleda robi takie wrażenie jak szopka, gdzie w głębi stoi wprawdzie żłobek i Najświętsza Panna, i Św. Józef, ale na przodzie sceny rozmawiają żołnierze, chłopci i Żydzi, niewiele się troszcząc o to, co w głębi. W koledach na pierwszym planie są zawsze ci pasterze, ci parobcy i ich rozmowy nieraz bardzo długie. Narodzenie służy za tło, a obrazem jest polski świat, polska wieś, ze wszystkim, co do niej należy; jest i mróz grudniowy, i kożuchy, i buty, i czapki, i różne domowe sprzęty, i zapasy. Rozwijają się zarazem różne rodzaje koled, bo jeżeli wszystkie nieodmiennie mają charakter idylliczny, to w formie raz będzie to idylla opowiadana i opisująca z epickim pierwiastkiem, innym razem dialog we dwie lub kilka osób, a w nim (jak w szopce) jakieś żdźbło pierwiastku dramatycznego.

Od bardzo dawnych czasów istniał zwyczaj dawania podarków w wigilię Bożego Narodzenia. W rachunkach Zygmunta I przechował się rejestr wydatków »na koledy«. I tak: panom wikariuszom dano złotych 10, Tatarom winszującym — złotych 30, Żakom, grającym niemiecką komedię, grzywnę 1 i groszy 24. Gdy raz Zygmunt August nie dał żadnej »ko-

ledy« staremu Stańczykowi, on, gdy przybyli senatorowie z powinszowaniem do monarchy, chodząc smutny i głośno wzdychał, a zapytany o powód troski, odpowiedział tak, żeby król usłyszał: »Dla mnie rok nie nowy, bo suknie mam stare«. Dobry król uśmiechnął się i kazał dać Stańczykowi nowy żupan, pas i buty. Dawni magnaci bywali hojni i rozdawali dworzanom swym »na koledy« konie, rzędy, pasy, bobrowe kołpaki, szable itd. Szlachta dawała »koledy«, na jakie było ją stać. Franciszek Zabłocki w jednej ze swych komedii z czasów Stanisława Augusta powiada: »Mamy tyle czeladzi, każdy chce koledy. Trzeba wszystkim coś wciągnąć, taki zwyczaj wszedł. Rok też na to czekali, raz w Gody ta laska«.

Jest to dawny zwyczaj, że proboszcz lub wikary od Nowego Roku do wielkiego postu nawiedza »po koledzie« domy wszystkich parafian, ogłaszając zwykle w niedzielę z ambon, kiedy do której wsi przyjedzie. Stuszną robi uwagę ksiądz Stanisław Jamiołkowski, że wiele koled musieli tworzyć początkowo ci plebani, klechowie, kantorowie i organści, którzy z plebanem jeździli po koledzie i śpiewem koled rozweselali parafian. Tą też drogą upowszechniły się koledy między ludem, co niewątpliwie nastąpiło w wieku XVI, bo już synod gnieźnieński z roku 1602 zakazuje śpiewania koled niestosownych po kościołach”.

W czasie adwentu — czytamy w pracy »Wigilii« przez mistrza Zygmunta Glogera o pisanie — powstał zwyczaj powszechny w naszym kraju trąbienia na ligawkach, czyli wielkich trąbach drewnianych, na znak pobud-

ki, którą ma dać światu Archanioł w chwili nadejścia sądu ostatecznego. Ma to związek ze słowami Pisma Świętego: Canite tuba Sion — śpiewajcie trącąc Syonie. Zwykle młodzież wiejska przez ciąg adwentu, z nadejściem ciszy wieczornej, wygłasza proste, przejmujące tony: g, c, e, g, c, a, g, c itp.

Zwyczaj ten poetyczny, poważny i religijny, a zastępujący na poparcie duchowieństwa, zachowuje się w wielu wioskach nad Narwią, a melodyjny głos ligawki biegnie nieraz w promieniu półmilionowym i dalszym i dolatuje z okolicznych siół, w miarę odległości słabszy lub silniejszy, miły dla ucha czyniąc efekt. Podobno atali najuroczyściej występowało na sąsiednim Łomżyńskim Mazowszu w Zambrowie, gdzie proboszcz miejscowy ks. Stanisław Choromański, późniejszy arcybiskup metropolita Warszawski (1767—1838), silną opieką swoją ten zwyczaj otaczał. Tam o północy na Pastercie młodzież całej parafii zambrowskiej, ludnej i rozległej, popisująca się na ligawkach w wybieraniu melodyjnych i czystych tonów.

Jak wiadomo, głównym obrzędem domowym Wigilii Bożego Narodzenia jest w kraju naszym postna uczta wieczorna, zwana »wigilią« lub »kucją«. Nad Narwią do koniecznych potraw wigilijnej obiadu zalicza się kucję i kisiel. Kobiety przyrządzają te potrawy w nocy lub bardzo rano w dniu wigilii. Kucję robi się z pęczaku tj. jęczmienia obtłuczonego z łuski w ręcznej »stępie«, który gotuje się na gęsto i ostarza miodem. Do tak przyrządzonej kucji dodają niekiedy uwiercony mak lub mleko makowe, rozcieńczone wodą. Kisiel robi się tradycyjnie z maki owsianej, którą rozrabia się wodą na rzadko, przecedza, gotuje i zlewa na miś, gdzie krzepnie w rodzaju krochmalu lub galarety, którą przed samą ucztą kraje się i podlewa mlekiem makowym. Kucję stawia się na cały dzień w garnku na ławie za stołem w rogu izby, czyli na tak zwanym »pokąciu«, jako miejscu najbardziej dostojnym, od którego też otrzymała swoją nazwę. Kisiel z miśką stawiają w niektórych wioskach obok kucji, w innych zaś na »tramie«, czyli siestrzanie (pod powatą). Jak kucję uważają za potrawę gospodyni, tak kisiel za potrawę gospodarza. Bez kucji nie masz nigdzie uczyły wigilijnej, ani u kmiecia, ani u szlachcica, ani u magnata polskiego, z tą tylko różnicą, że w domach możniejszych miejsce pęczaku jęczmiennego zastąpiono kaszą jęczmienną, zwaną perlową, będącą lepszym gatunkiem pęczaku, a następnie kaszę tę znowu zastąpiono ryżem z rodzynkami, miejsce zaś miodu lub mleka makowego zajęła polewka migdałowa, z czego utworzyła się powszechnie dziś używana na pierwsze danie wigilii polewka (zupa) migdałowa z ryżem i rodzynkami.

Lud w stronach, z których podajemy opis, powiada, że kto nie zaśni w wigilię Bożego Narodzenia, ten przez cały rok rano wstawać będzie, a która dziewczka trze mak w dniu powyższym, ta niechybnie pojmie za



za «wójta» dworskiego, czyli kar-
nego. Niewiasty nie zwykle wśród
tego nie jedzą, a tylko dla pra-
jących mężczyzn gotują czasem
południowy posiłek groch z żu-
mą. Od południa przystępują one
do przyrządzania reszty wigilijnego
jadu, który składać się winien
z dziesięciu, w domach zaś moż-
liwych z potraw dziesięciu lub
dwunastu. Liczba tak znaczna jest
z bólem urodzaju tych wszystkich
potraw do uczyty użytych i pożąda-
nej obfitości chleba na stole w roku
stępnym, który w obrządkach
kościelnych zaczyna się już od Bo-
go Narodzenia. Chodzi tu jednak
nie o ilość dań, przypisaną pra-
wem zwyczajem, nie zaś obfitości ja-
da, i stąd aby liczby dopełnić, go-
tują niektórych potraw zaledwie
z skosztowaniem. Obok kucji i ki-
sielek bywa zwykle: barszcz z grzy-
bami, kapusta, kluski pszenne z
olejem lub olejem, kasza jaglana,
zupa, groch i gruszką, a niekie-
dy i ryby. Kapustę (podawaną jako
pos) kraja w dniu poprzednim,
czyli (o ile można) najmniej używać
w wigilię.

Za zbliżaniem się wieczoru gospo-
darz zasiada do stołu drobnym sianem,
pospodym przykrywa sianem bia-
łym obrusem. Zwyczaj ten, jak wi-
adomo, powstał na wzór pamiąt-
ki uczczenia ubóstwa, w jakim
zyszedł na świat Zbawiciel ludz-
kości. W kącie izby stawiają snop
z siana, który ma przypomnieć wnętrze
stajni szopki Betlejem, a zara-
zem być symbolem urodzaju przy-
chodzącego. Wesola młodzież po-
dawa w sian pod obrus niektóre
przedmioty, np. małe z galanek
nieczki, jako wróżbę zamążpójścia
i ożenienia dla tego, który w tym
miejscu usiadzie. W domach moż-
liwych kładą kartki z dowcipny-
mi wierszykami, co wszystko póź-
niej znalezione, wywołuje przy ucze-
niu wesółość, śmiechy i stanowi niby
grózbę. Działwie kładą tam podar-
ek gwiazdkę, bo tak zwana
«gwiazdka» jest zwyczajem niemiec-
kim, który dopiero w wieku bieżą-
cym został przez klasy wyższe nie-
potrzebnie przyjętym i rozpowszech-
nionym. W przeciwstawieniu jakby
do ilości potraw, liczba biesiadników
musi być zawsze parzysta, bo niepa-
rzysta jest wróżbą śmierci jednej z
obecnych. W domach obywatel-
skich starym, a pięknym zwyczajem
zapraszają w takim razie do stołu
jedną osobę ze służby. Mieszczanie
starej daty ubiegają się w zaprosze-
niu na wilej dziada, baby szpitalnej
lub żebraka, a szlachetny ten zwy-
czaj powstał na piękną pamiątkę,
że Chrystus jadł spolem z ubogimi.
Ukazanie się pierwszej gwiazdy
na błękitnie nieba ogłasza światu u-
poczystą rocznicę narodzin Zbawi-
ciela. Jest to hasło do serdecznej i

radosnej uczyty w domu polskim,
którą rozpoczyna gospodarz, przy
wzajemnych życzeniach, łamiąc i
dzieląc się ze wszystkimi oplatkiem,
symbolem owych poświęconych
prześniach chlebow [..] Gdy się
wszyscy wzajemnie podzielą, zasia-
dają do spożycia kucji i kisielek (na
zimno), a następnie dań gorących,
racząc się piwem domowej roboty
ze słoju jęczmiennego lub jagód ja-
łowcowych. Przy spożywaniu grochu
rzucają wszyscy (a głównie gospo-
darz) ziarnkami jego do góry, aby
dobytek rozmnożył się licznie, jak
ten groch, i zdrowy wybrykiwał tak
wysoko. Po domach obywatelskich
na koniec uczyty podają kluski z ma-
kiem. Powiadają, że kto ilu potraw
z wigilii nie je, tyle przyjemności w
roku następnym go ominie. Po skoń-
czonej wieczerzy gospodarz zbiera
skrzętnie siano ze stołu i rozdziela
pomiędzy dobytek, aby, jak mówią:
każde bydlatko dostało garstkę
sianka z wieczerzy pańskiej. Ze sno-
pu żyta, w rogu izby stojącego, ro-
bia później powrósł, którymi w
dzień Świętego Szczepana lub
Trzech Króli, obwiązują w sadach
drzewa owocowe, aby obficie obro-
dziły. Niekiedy także zboże to od-
dają do spożycia bydłu, które wedle
starej powieści ludu, otrzymuje od
Boga w uroczystej nocy świątecznej
dar mowy ludzkiej. Z tej okoliczno-
ści opowiadają o pewnym ciekawym
a niedowierzającym kmieciu, który,
aby przekonać się, czy to mniema-
nie jest prawdziwym, i o czym zwie-
rzęta między sobą rozmawiają, po-
łożył się na noc w oborze i udawał
śpiącego. Jakoż około północy sły-
szy, jak jeden wół mówi do drugie-
go towarzysza: «Odpoczywajmy, bo
jutro odwiedzimy naszego gospoda-
rza na cmentarzu». Kmiec roześmiał
się i wyszedł bezrozumne zwierze-
ta, ale istotnie nazajutrz umarł i
woły powiozły go do grobu.

Zacny, znany z rozumu i dowcipu
ks. Marcin Krajewski (ur. ok. 1740
r.), który był proboszczem na pogra-
niczu dawnej ziemi Bielskiej, w
swojej książce do nabożeństwa (wy-
danej po raz pierwszy w 1771 r.)
gani surowo «na Jutrzn, w nocy Bo-
rzego Narodzenia, rzucanie w koś-
ciele grochem, a często i kamuszc-
kami, i udawanie świergotania róż-
nego ptactwa».

W święta Bożego Narodzenia roz-
poczynają się wszystkie obchody z
szopką, czyli jasełkami, gwiazdą,
królem Herodem i kołędami. Drugi
dzień Bożego Narodzenia poświęco-
ny jest, jak wiadomo, Świętemu
Szczepanowi, pierwszemu męczen-
nikowi za wiarę Chrystusową. W
dniu tym lud w okolicach, o któ-
rych to mówimy, znosi do świątyni
różne dary dla proboszcza i do po-
święcenia owies, którym, wraz z
grochem, w niejednym jeszcze koś-
ciele obsypują kapłana, czyniąc to
jako ofiarę z tego ziarna, aby Bóg
pobłogosławił jego urodzajowi, a za-



razem na pamiątkę ukamienowania
Świętego Szczepana. Jak Boże Na-
rodzenie lud tutejszy nazywa zawa-
sze «Godami», tak dwanaście wie-
czorów od tych świąt do Trzech
Króli nosi u niego miano «świętych
wieczorów». W domach, gdzie wie-
czory te święcą, przestrzegają, aby
po zachodzie słońca nikt nie przadł,
nie motał, nie szyl i nie strugał.
Czas spędzają przy ognisku na
śpiewaniu pieśni nabożnych i świa-
towych, opowiadaniu starych klechd,
baśni, na innych rozrywkach do-
mowych i wzajemnych odwiedzi-
nach. Jest to, rzecz można, niejako
dalszy ciąg starych «Gód». Z pogody
w tychże samych dwunastu dniach,
czyli z sześciu dni kończących rok
stary i sześciu zaczynających nowy,
przepowiadają stan atmosferyczny,
dwunastu miesięcy rozpoczynające-
go się roku. Na zakończenie przy-
słowia, odnoszące się do świąt.

*

Na Adama i Ewy
Miej dobre cholewy.

Wigilia piękna, a Jutrznia jasna,
Będzie stodoła ciasna.

We wigilię
Dzieci biją.

Kiedy Gody jasne, to stodoły
ciemne (będą pełne).
Kiedy Gody ciemne, to stodoły
jasne (będą puste).

Boże Narodzenie białe, Wielkanoc
zielona,
Boże Narodzenie zielone,
Wielkanoc biała.

Jeśli pola zielone, gdy się
Chrystus rodzi,
Gdy zmartwychwstanie, śnieg z
mrozem kołaczom przeszkodzi.

Na Boże Narodzenie
Weseli się wszelkie stworzenie.

Rodzi się Syn Boży — co rok to
ubożej.

Na Święty Szczepan każdy sługa
pan.

Na Świętego Szczepana.
Kto co rok odmienia pana.
Zła na nim sukmana.
Fot. GABOR LÖRINCZY



kontakty kontaktów

kilka
pytań
o praworządność

W odpowiedzi na polemikę B. Polesińskiego z wypowiedzią Prokuratora Wojewódzkiego zamieszczoną w 23 numerze „Kontaktów” otrzymaliśmy list z-cy Prokuratora Wojewódzkiego J. Franciszkiewicza, którego obszernie fragmenty drukujemy poniżej:

Obywatel Bolesław Polesiński w numerze 25 łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty” podjął polemikę z wypowiedziami w artykule „Kilka pytań o praworządność”.

Dyskutant Polesiński negatywnie ocenił zjawisko tzw. łapownictwa i stanu ścigania tych przestępstw, który, jego zdaniem, nie odpowiada potrzebom chwili i społecznym oczekiwaniom.

W zasadzie głos ten należałoby ocenić pozytywnie a krytyczne uwagi przyjąć do usprawnienia działalności organów ścigania gdyby nie fakt, że wypowiedzi mają ton nastawiony i znieważający, a rady tam udzielane organom ścigania, co do metod zwalczania przestępstw, nie są do przyjęcia, mimo iż autor przedstawił swoje dobre intencje, że działa w interesie odnowy i zgodnie z zasadami moralności.

Padło stwierdzenie, że zjawisko łapownictwa jest powszechne i wskazówka „baczysz pobierają ekspedientki, panie w przedszkolach i szkołach, służba zdrowia, urzędnicy itp.”

Tu już chyba autor tej wypowiedzi, delikatnie mówiąc, przesadził. W myśl tezy obywatela Polesińskiego, skoro ludzie nie zgłaszają o tych faktach sami, należałoby wziąć tylko listę rodziców uczniów szkół, względnie pacjentów szpitali i po kolei przesłuchiwać wszystkich jako świadków, a resztę w charakterze podejrzanych. Być może osiągnięto by bliżej nie określone wyniki.

Tylko że metoda ta, zupełnie średniowieczna, byłaby nie tylko sprzeczna z zasadami procesu karnego ale i niemoralna. Zwykle awanturnictwo.

Dalszy zarzut to, zdaniem autora, amoralna postawa organów Prokuratury zawarta w zdaniu cytując: „dziwi mnie również, że instytucja powołana do ścigania przestępców czeka na sygnały od ludzi, że zamierza korzystać z anonimów”.

Osobiście też nie lubię anonimów, wolę, jako prokurator, oficjalne zgłoszenia.

Zgodnie z obowiązującym art. 256 § 1 Kodeksu Postępowania Karnego, a sam go nie wymyśliłem, cytując: „Każdy dowiedziawszy się o popełnieniu przestępstwa ściganego i urzędu ma społeczny obowiązek zawiadomić o tym prokuratora lub Milicję Obywatelską”.

Skąd się wzięło stwierdzenie, że Prokuratura Łomżyńska bagatelizuje sprawy skarg kierowanych do Prokuratury Generalnej PRL. Tylko sam autor mógłby wyjaśnić, o co mu chodzi.

Czy można zarzucić Prokuratorowi Wojewódzkiemu, że ten udzielał wykrętnych odpowiedzi i żyje w wymyślnym świecie baśni, zaś trudne sprawy przemilcza.

Nikt z prokuratorów i nigdzie nie powiedział, że wykrywalność sprawców przestępstw odpowiada obiektywnej rzeczywistości. Problem zwalczania łapownictwa to nie tylko obowiązek wyłącznie prokuratury.

Wszelkie pomówienia zawarte w protokołach zebrań, zbiorowych petycjach i notatkach prasowych nie mogą w myśl procedury karnej stanowić jeszcze pełnowartościowego dowodu dla sądu a jedynie są sygnałem do działań podejmowanych przez organy ścigania.

Publikujemy również fragmenty listów od czytelników polemizują-

cych z wypowiedziami prokuratora Jerzego Kubraka:

Nie wiem czy to miał być dowcip, żeby oświadczyć, że w Łomżyńskim problem łapownictwa nie

Pan prokurator wie o tym, że istnieje w naszym województwie instytucja, do której przychodzą wszystkie donosy, te podpisane i te niepodpisane, i że tam właśnie kończy się ich żywot. Na uczciwego człowieka nikt nie złego nie powie. Jeżeli jednak o kimś mówi czy o czymś mówi całe miasto, coś w tym musi być. Pan prokurator o nieprawościach słyszy tylko w kawiarni, na ulicy. Poza tym, jest dla niego obojętne, że ktoś komuś dał kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ale cóż, do Łomży odnowa jeszcze nie dotarła.

Nie wiem czym pan prokurator się kierował „usprawiedliwiając”, a jednocześnie „rozgrzeszając” z budowy domu byłego wiceprezesa WZSR Witolda Urbanowskiego. Przecież w tej sprawie nie chodzi tylko o 30 lub 50 tysięcy. W Urbanowski jest winien popełnienia nadużycia sięgającego kilku milionów złotych. Wspólnie z ówczesnym komendantem Milicji Obywatelskiej w 1976 roku postanowili budować wille-bliźniak. Mając podporządkowany sobie Zakład Inwestycji i Budownictwa WZSR zobowiązał dyr. Justa do wykonania tejże budowy. Ten ostatni zlecił budowę Oddziałowi Budowlano-Montażowemu w Ciechanowcu. Budowa nie została ujęta do planów techniczno-ekonomicznych zakładu. Inne budowy w tym czasie stały z braku materiałów, sprzętu i ludzi. Inwestorzy naliczyli kary za nieterminowe wykonywanie budów i za złą jakość, a Bank rąbał odsetki karne. I tu są miliony strat poniesione przez ten zakład.

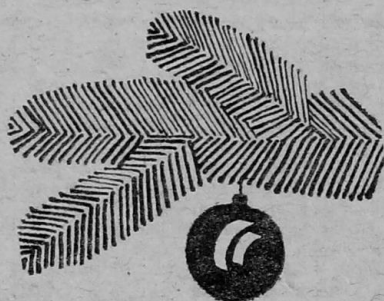
Willi posiada około 600 m² powierzchni a jej wartość w chwili obecnej wynosi około 3 milionów złotych. Natomiast Urbanowski i jego wspólnik, po wkroczeniu organów kontrolnych, zostali obciążeni kwotą 350 tysięcy złotych. Willi przy ulicy Kwiatowej 26 i 28 od trzech lat stoi nieużytkowana, nie ukończona. Urbanowski i Klonowski nadal mieszkają w budownictwie lokatorskim.

Stworzono jednak pozory, że ukończona połowa jest zamieszkała — powieszono w oknach firanki.

Jeżeli budowa Urbanowskiego była legalna, zgodna z nikomu nie znanymi przepisami resortowymi, to dlaczego po wkroczeniu organów kontrolnych, w tym i Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej, Urbanowski został odwołany ze stanowiska wiceprezesa? I dlaczego, jak na tronie, został on mianowany na dyrektora zakładu budującego jego wille? Żeby mógł ją ukończyć?

Następna kontrola to uniemożliwienie. Zalecono odwołanie Urbanowskiego ze stanowiska i pozbawienie możliwości zajmowania kierowniczych stanowisk. Wyniki kontroli przekazano milicji. Co się z tym stało, pan prokurator był uprzejmy odpowiedzieć. Na podstawie takich stwierdzeń głównego rzeczownika przestrzegania prawa trudno mieć nadzieję, że kontrole będą rzetelne a nadużycia ukarane. Czyżby naprawdę w świetle obowiązującego prawa wykorzystanie stanowiska do prywatnych celów było niekaralne? Można przypuszczać, że Urbanowski po tej „rehabilitacji” dokonanej publicznie przez pana prokuratora zostanie powołany na stanowisko dyrektora i być może będzie mógł dokończyć budowę swojej willi.

red.



Zawsze najbardziej lubiłem grudzień. To ten najstarszy, najmądrzejszy z dwunastu braci. Nie wiem dlaczego, ale chociaż zawsze niosł ze sobą mróz i śnieg, wiedziałem, że musi mieć bardzo ciepły, miękki głos. Chyba coś z głosu i dotyku matki — opiekuńczego, za-troskanego.

Kiedy spadł pierwszy śnieg, wariowałem z radości. — Idzie grudzień. Idzie grudzień. — A przecież często było do niego jeszcze tak daleko. Śnieg topniał, powracała jesień, obrzydliwa mżawka. Cała radość ginęła gdzieś w szarych, butwiejących rozkoliskach zewsząd spływającej wody. Pozostawał jednak odprysk nastroju. Nastroju oczekiwania. Bardzo podniosłego, prawie sakralnego.

oczekiwanie

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, co to jest „sacrum”, lecz przeczuć (jestem tego teraz pewien) było pełniejsze, z pewnością szczerze. Nikt nie stał przed alternatywą, nie żądał wyboru. To nawet nie była wiara. Dostępnym szybko zorientowałem się w tym niewinnym matactwie. Jakże często miałem ochotę schwytać rękę wsuwającą się pod poduszkę i rozpoznać. Przecież wiem, że to ty tato, mamco. Coś jednak prze-magało. Udałem. Radosny, pod-niecony. A może po prostu jednak nie chciałem burzyć tych resztek nielogicznej, nieracjonalnej wiary? Nie wiem. Nieważne. Najważniejsze było samo oczekiwanie. Nawet nie prezent. Oczekiwanie. Jakby coś na-prawdę miało się spełnić. Zmienić na niezwykle, kolorowe. Po prostu

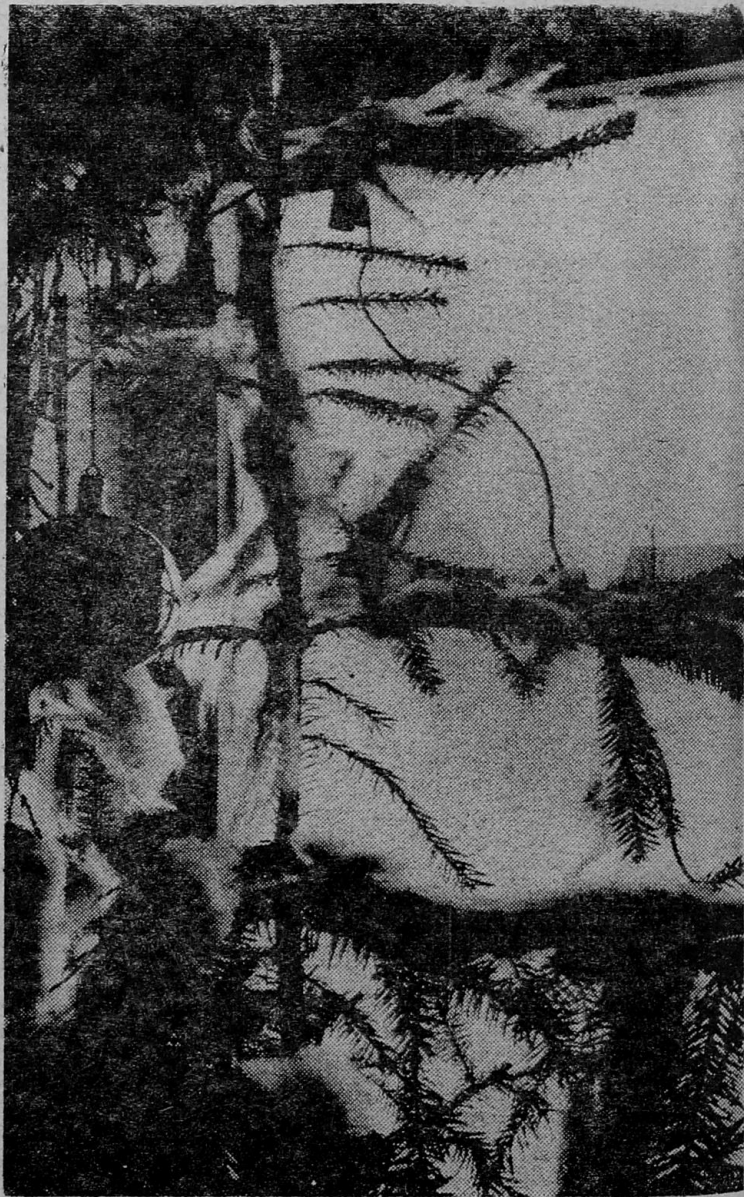
inne. Przecież wtedy nie potrafiłem tego nawet nazwać. Czy potrafię dzisiaj? Czy w ogóle ktokolwiek po-trafia?

A potem znowu. Napięcie rośnie. Dojrzało. Eksplodowało każdego dnia małymi odkryciami. Białą gwiazdką na witrynie sklepowej, znowu śniegiem, przypadkowo pod-słuchaną rozmową. Któregoś dnia zaczynały się porządki. Zabiegane, nerwowe. Krzątające się z kąta w kąt, metodyczne, umęczone. Pojawiał się gorzki zapach pokostu, słodki grzybów, kapusty i ciasta. Wreszcie, tak długo oczekiwany, żywiczny — lasu i igliwia. To była zawsze naj-radośniejsza, szalona chwila upoj-nego tańca wokół małego, zielonego drzewka. A potem już tylko na dłu-go przed zachodem słońca godzinę wypatrywania malej, wigilijnej gwiazdy.

Zmieniło się. Z każdym rokiem jakby czegoś ubywało. Niby wszyst-ko pozostawało podobne, ale już nie takie samo. Najpierw brakło kogoś przy stole, potem nie starczyło czysto dziecięcego, szczerzego unie-sienia.

Lubię w dalszym ciągu grudzień. Lubię jego niepowtarzalną aurę, za-dumanie. Lubię, kiedy za oknem pada śnieg, mróz trzęszechy pod pło-

ALEKSANDER WRONISZEWSKI
Fot. GABOR LORINCZY



jeden równa się co najmniej dwa

7

KONTAKTY
28 XII 1980
— 41 1981

— Napisałem go jeszcze dawniej. Może pan przeczytać?

"Kiedy naprawdę narody powstaną, Zło nie będzie miało już miejsca, lecz ogłupieje na myśl o Prawdzie i wieści będą z wichrami chodziły, a każda będzie serca ludzi wzmacniać, kiedy powstaną wielkie, mądre hasła. I cieszyć się będą ludy Wschodu, Zachodu, Północy, Południa, że jako Jedno stanowiąc będą."

5 grudnia 1980 r. świat donosił: w Zawadach (gmina Zakroczym) nieznany sprawca podpalił stodołę. „Za szybka jazda przyczyną tragedii w Warszawie”. „Eksplodowały dwie bomby podłożone w Londynie”. „Atak komandosów izraelskich na pozycje palestyńskie”. „Artyleria iracka ostrzeliwała „Ahwaz”. „Zdaniem świadków Ciang Cing kazała torturować aresztowanych”. „Józef Mengele winien śmierci 300 tysięcy Żydów”.

W ów piątek Aleksander mówił: — Chcę; bardzo chcę; staram się pomóc ludzkości; dążę do stworzenia międzynarodowej religii; religii łączącej ludzi w dążeniu do powszechnego dobra; pragnę wzmocnienia woli bliźnich w kierowaniu się zasadami Prawdy i Miłości; zabiegam o umocnienie wary każdego człowieka w możliwość budowania szczęścia osobistego przez szczęście innych; chcę według słów poety „żebyś mógł, jak nie mogę, pchnąć bym was wszystkich na właściwą drogę, nie szliście jak stado zbłąkanych owiec do celu”; pragnę od dwudziestu siedmiu lat doprowadzić do stworzenia programu, na wiele wieków naprzód, wskazującego sposoby zintegrowania mieszkańców Ziemi, w woli czynienia Dobra.

Chcę usilnie przyspieszyć proces scalania mas ludzkich w obliczu nadciągających katastrof ekologicznych, zapowiadających przymus zespalania się ludzkości w rozstrzygnięciu podstawowych kwestii bytowych na krawędzi zagłady świata i w obliczu nieuchronnego wówczas pogodzenia się z nakazem powszechnej Miłości.

Nawiedzenie. Tydzień zmagania o adekwatność. Słów. Składni. Kompozycji. Osobowości.

— Rok 1955. Mówiłem do innych: stwórzmy społeczeństwo wzajemnej Miłości. Nie przekonałem. Pragnę rozpalania w umysłach coraz ostrzejszego krytycyzmu myślenia wyzwającego z odwiecznych powrozów masowej kultury, będącej rezultatem działania na przestrzeni wieków uprzywilejowanych dyletantów, zabijających świadome indywidualności od kolebki po wiek starszy i przyzwyczajających poszczególne jednostki z osobna do aprobaty powszechnych (gdyby to autorytet głosił...) dogmatów filozoficznych jako kryterium rozstrzygnięcia problemów życiowych.

Nawiedzenie. Bezradna szamotania w fatamorganie znaków. Przecież nie napiszę: „Poznaliśmy się przypadkowo. Zmrok zapadał, gdy rozpoczynał swą opowieść. Z wolna wyłaniał się obraz tego nietuzinkowego...” itepe. Byłoby mniej pracy, dłuższy tekst, większe honorarium. Większa bzdura.

— Brak dostępu do publikatorów: nie mogłem podać odezwy do świata o potrzebie integracji ponadnarodowej, więzi ludzi na gruncie naczelnych wartości, umożliwiających lepsze dążenia do Dobra, a zaprzepaszone przez nauki humanistyczne ich specjalizacją, która odbiera wartościom pierwotne i zrozumiałe dla ogółu znaczenia (nie wierzy się: oddolne zjednoczenie nie ma szans).

Pragnę podjęcia przez ludzi apelu o konieczności jednoczenia się w celu jak najszybszej naprawy świata, przede wszystkim przez naukowców, zmierzających dotychczas indywidualnie do odbudowy sensów w egzystencji ludzkiej (unikano ze mną dialogu). Dążę do uwiecznienia moich wieloletnich, łzami i udręką trawionych, przemyśleń, a mając ku temu ogólnie sprzyjające warunki, postanowiłem (załamywałem się psychicznie) założyć międzynarodowe (byłem materialnie też źle ustawiony) studium (mówiło się: here-tyk) życia.

Maj 1980 roku. W Łomży ruszyła budowa prywatnego domu mieszkalnego, w którym jedno z pomieszczeń o powierzchni 70 metrów kwadratowych ma zajmować Światowa Szkoła Życia. Budynek zostanie oddany do użytku w drugiej połowie 1982 roku.

— Mówiłem z profesorem uniwersyteckim z Szczecina. Zainteresowany sprawą. Przyjedzie latem. W studium powinno się m.in. opracować koncepcje dietetycznego (będę kupował lawki, pomoce dydaktyczne) żywienia. Każdy może być uczestnikiem studium. Program szkoły — do ustalenia. Będę stwarzał... robię nabór... Warunki do pracy myślowej... w Łomży. Nieważne, gdzie zacznie się działalność. Tworzyć będziemy filie, aż szkoły zrodzone ze studium... Jest w tej chwili co najmniej milion (obejmą cały świat) ludzi zdecydowanych zmienić świat na lepsze.

— Program?

— Wymiana przemyśleń o uniwersalnych wartościach, potrzebnych do zbudowania Nowego, Dobrego Świata.

— Forma pracy?

— Dialog?

— Bo?

— Sokrates: „Ludzie prowadzący

dialog zawsze dochodzą do jednej, wspólnej Prawdy”.

W ogóle nie napisać. Kto uwierzy w jego szczerzy dramat? Jak oddać nabrzmiałą problemami intensywność głosu, układu kadencji i anty-kadencji, oznakową funkcję gestykulacji?

— Metoda pracy?

— Dogłębne przeżycie Prawd odkrywanych przez jednostkę w drodze dialogu. Przeżycie jest autentyczne, gdy prowadzi do konsekwentnego postępowania, opartego na tych Prawdach.

— Wypracowane pojęcia wartości?

— Takie:

„Dobro — z wartości możliwych do wyboru, wartość największa;

Niebo — pełnia szczęścia społecznego, osiągnięta przez złączenie się ludzi w Dobro;

Niewierzący — ten, kto nie wierzy w możliwość powszechnego kierowania się przez ludzkość Dobrem; takich ludzi nie ma na Ziemi;

Religia — życie zgodne z Prawdą, Sprawiedliwością, Miłością, Odpowiedzialnością, dążeniem do łączenia się w Dobro;

— Zło — z wartości możliwych do wyboru, wartość najmniejsza [...]”.

Powiedział na koniec: — Niech pan nie kasuje taśmy. Mogę przecież dzisiaj umrzeć, a to będzie dokument. Niech pan traktuje treść zapisu jako swoją.

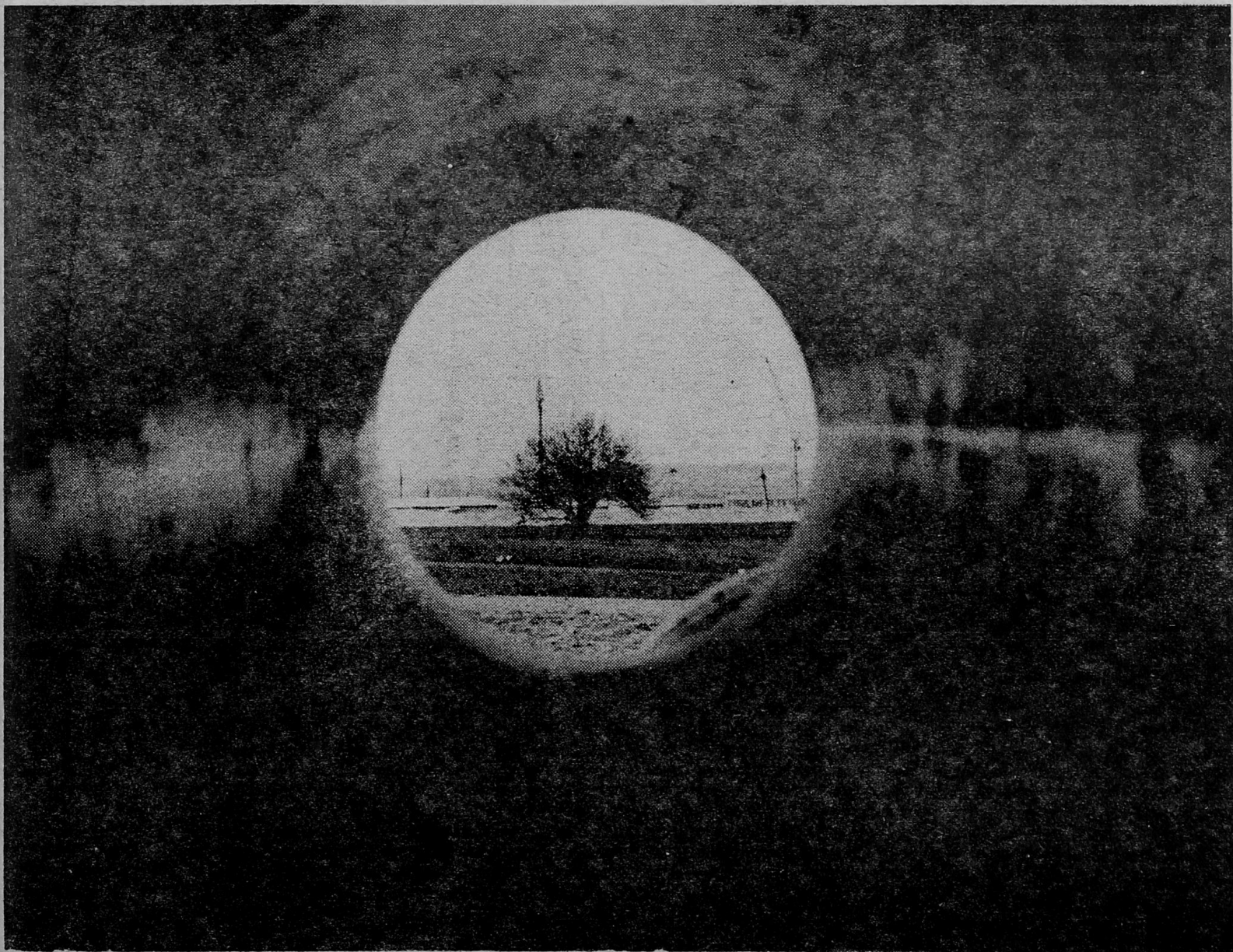
— Pszeniecki Aleksander. 16 kwietnia dwudziestego drugiego roku. W Łomży. Jan, Zofia.

Dowód osobisty. Dowód osoby?

— Zonaty. Dziewięćcioro dzieci. Wykształcenie: zasadnicze zawodowe. Rolnik.

Życiorys. Rys życia?

JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LÖRINCZY



I. JAK TO LUDZIOM
DZIWIŃE

— No i kogo mi radzisz?
— Najlepiej od razu jechać tam — stuknął w punkt na mapie opisany jako Wysokie Maz. — ale można i tu pogrzebać. Rozumiesz: muzealnicy, naukowcy, archiwiści... Może wiedzą. Tylko jakby mówili, że szlacheckie grochy piła w rękawiczkach, to powiedz im od razu: gówno prawda. Sroga się na to nabrał, a moja matka pazurami potrafiła gnój rozrzucić. Serio. Nie daj się.

Po wyjściu pana Stasia przychodzi Jan Leociuk, poeta i poszukiwacz prawdy o diablach trzech województw, pracownik naukowy Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku i — w tej samej osobie — rolnik spod Białegostoku. Obiecuje mi pewne dokumenty, pokazuje drogę do Kulesz Kościelnych, a jego kolega, też z Filii, dyktuje z głowy literaturę i nazwiska: Helena Czernek z Łomży, Józef Maroszek z Filii, Adam Dobroński też z



Filii, warszawska katedra etnografii (cały zestaw), a niezależnie od tego Gloger i Dworakowski; ci dwaj przede wszystkim. Kto jeszcze? Można by długo, ale już nie trzeba: rozsyłał się worek ekscytacji, kompleksów ze znakiem plus i minus, wychylny garby (Osmańczyk) i fumi (Wańkiewicz), tradycje (Wyczański, Cywiński, Tazbir) i przesady (Kaczyńska). Zaczynam wierzyć moim informatorom, że można nie wyściubić nosa z Białegostoku, a hasło „co zostało ze szlachy” opracować bez pudła. Chociaż Białystok składa się z substancji przede wszystkim odmiennej.

Na drugi dzień rano piję kawę w gabinecie sekretarza FJN w Białymstoku, Antoniego Grzeskiewicza, w latach 1956–1959 sekretarza KP PZPR w Łomży, a w latach 1959–1962 I sekretarza KP właśnie tam, gdzie pokazywał pan Stasio, w Wysokiem. Czy to prawda, że w okolicach Wysokiego było ich najwięcej? Prawda. Tych wstecznych, zafonanych, ciemnych jak tabaka w rogu i tak reakcyjnych, że aż im czarne szło na podniebienie?

— O, hola, hola — przerywa Grzeskiewicz. — Kto tak panu mówi?

Nikt mi nie powiedział. Dostałem w Muzeum Okręgowym materiały z sesji naukowej, poświęconej drobnej szlachcie, i wynotowałem: „niechęć do innowacji, rutyna i konserwatyzm gospodarczy cechowały drobną szlachtę [...] Oszczędność, którą można też zrozumieć jako niechęć do wydawania pieniędzy nawet celem pomnożenia zysku, była na pewno przejawem tradycjonalizmu. Wiadomo było, że szlachcie stała się jak najmniej kupować i jak najmniej sprzedawać. Nie kupowano nawet nowych narzędzi służących się przestarzałymi [...] Charakterystyczną cechą społeczno-ekonomicznego postępowania drobnej szlachty była niechęć do wspólnego działania, obserwowana we wsiach mazowiecko-podlaskich zarówno w XIX, jak i w XX w. [...] Wielu obserwatorów, nawet przychylnie usposobionych wobec zagrodowców, podkreśla ich ciemnotę i hołdownictwo zabobonom”. I tak dalej, w stylu tych próbek, pobranych z referatu „Drobna szlachta i szlacheckość w społeczeństwie kapitalistycznym”, jaki Elżbieta Kaczyńska wygłosiła na sesji zorganizowanej przez Filie UW.

— Nie potwierdzam — mówi Grzeskiewicz. — Z perspektywy

czasu nie potwierdzam. Przecież gdyby te tradycje były takie ciemne, głupie i niechętnie nowości, to chłop mazowiecki nie byłby zaliczany, jeżeli chodzi o świadczenia rolnicze, do przodujących. To była tzw. Białostocka Wielkopolska, a chłop otwarty na nowinki, jak rzadko gdzie. Szły nawozy, i to na pola, a nie w rów; szły traktory tak, że gazeta aż o tym pisała. Chyba tylko do wapna nie mieli przekonania. Ale, to chyba było Czarnowo-Undy, nawozy własnym przemysłem potrafili sprowadzać, organizowali dostawę wagonami.

— Idylla, sielanka...

— Proszę? Jaka sielanka? Z jednej strony jeszcze weszono w traktory podstęp, bo na traktorze może wjechać do wsi kolchoz, z drugiej zostało coś niecoś z reakcyjnego podziemia. W jednej z pomajatkowych wsi był taki Mazur, chyba Stanisław. Nawiazaliśmy nić sympatii, został naszym kandydatem, to mu szyby powybijali. A zdarzały się jeszcze napady na sklepy, rabunki. Pamiętam pokazową rozprawę w

bowskiego, prezesa WSS „Społem”; wtedy był przewodniczącym Powiatowej Rady w Wysokiem.

No i nie wyszło. Jeszcze wczoraj, podjudzony referatem Kaczyńskiej, płałem jak jakobiński święty i chciałem wyróżnić po czerepie rubasznym tych zagonowych, zagrodowych, zaściankowych, szaraczkowych, chodczkowych, kapotowych, siermiężnych, bosych, parcianych, łykowych, drązkowych i okolicznych. Tę grzeszną szlachtę, którą diabeł zebrał do worka — według świadectwa Aleksandra Janowskiego — i niósł na piekielne męki, ale worek pękł mu nad Podlasiem. Tych społecznych, odgradzających się od chamów zadzieraniem nosa, wolantami na jarmarku i przed kościołem, kapeluszem szlacheckim parasolką, tym „Czy waspan myśli, że waspan to waspan? A ja waspanowi mówię, że waspan nie waspan, ale waspan: ty!” No i masz: trzy palce i niech sobie siadzie, zlewnia w Świecku i traktor w Wojnach. Nawet nie imponderabilia. I nawet nie niechluj, bo naciskany w kwestii brudów w szlacheckich obej-

pan, u nas była bieda, a u nich częściej jeszcze gorsza, to czym się przechwalac? Trochę anegdot, ot i cały problem.

To by się zgadzało. Maria Biernacka, w pracy o wsiach drobnoszlacheckich na Mazowszu i Podlasiu, wyliczyła, że „średnia wielkość gospodarstw we wsiach czysto szlacheckich” wynosiła w guberni „łomżyńskiej 31,3 morgów”. Ale Biernacka (za Tadeuszem Łuniewskim) zwraca też uwagę „na istnienie prawie w każdej wsi bardzo drobnych gospodarstw, liczących od kilkudziesięciu przętów do paru morgów ziemi. Szlachta będąca właścicielami tych drobnutkich posiadłości zmuszona była trudnić się wyrobkiem lub po prostu szła na służbę”. To ich zapewne opiewa anegdota, sowizdrzański monolog: „Jestem ja Mazur, Mazur bogaty, świąć się na mnie prześliczne saty: kosulke mam dreliśkową, właśnie jakby muślinową, dratwą syta [...] Mam i zupan zóty od święta, co w nim mój pradziad pasat cielenta; jest z materii smolitej, jezowem futrem podsytej”. Według Biernackiej (a także Korzo-

szlacheckie
ostatki

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI

sali kina; dwa dożywocia, jeden na piętnaście lat.

— No to jak: reakcja i wstecz-

nictwo czy otwarcie i postęp?

— Bo ja wiem? — Grzeskiewicz

szuka chwilę właściwego terminu.

— O, komplikacja, redaktorze, czy-
sta komplikacja. Robię, na przykład, zebranie z chłopami, walujęmy zakup traktora. Przy mnie jest dyrektor SOP-u i, jak zgoda, od razu skrypt dłużny na ten traktor szedł do podpisu, na miejscu. Gdzie komplikacja? A tu, że kilkanaście razy musiałem być żyrantem, bo szlachcie włościaninowi nie zawsze chciał podpisać, a włościanin szlachcicowi też nie bardzo.

— Nabrali pana? Płacił pan porę-

kę?

— Nigdy. Oni byli uczeiwi, bar-

dzo uczeiwi.

— A jak ich pan rozróżniał? Skąd

pan wiedział, który szlachcic, który

kmieć?

— O tym się wiedziało, tak jakoś. Nawet przy przyjmowaniu do partii było wiadomo, kto błękitnokrwisty. Ale uczyłem się też po herbach, po tym, że w domu szlacheckim mąż do żony nie mówił „przynies wody” czy „zrób obiad”, tylko „niech przyniesie”, „niech zrobi”; zawsze w trzeciej osobie. O jednym długo nie wiedziałem: że szlachcie temu, kogo niżej ceni, podaje nie całą dłoń, tylko trzy palce. „A, draniu — pomyślałem, jak się wydało — mam cię!” Znałem takiego jednego i przy najbliższej okazji zajechałem do jego domu. Na powitanie wściam mu jeden palec. Ten patrzy, zbaraniał i przeprosił. Potem spotkałem jeszcze takiego trójpalczastego portiera w ważnej instytucji społeczno-politycznej w Białymstoku, ale tego tylko zbyształem. Najłatwiej było we wsiach mieszanych, takich jak Świeck-Strumiany i Świeck Wielki, jeden szlachecki, a drugi włościański. Tam było od razu wiadomo, gdzie chłop, a gdzie szlachta, bo jak zlewnia mleka stanęła w części włościańskiej, to szlachcie przez jedną noc też zbudowali zlewnię. Obok, ale w swojej części. O, albo Wojny; pamiętam jak kupowali tam traktor. Jestem na zebraniu i widzę, że coś mało ludzi. Potem się okazuje, że przyszła sama szlachta, bo „tamta część się nie liczy”. Ale reszta spraw szła jak z płatkami: buraki, drogi przy udziale czynów, elektryfikacja bez oporów, zwalczanie gruźlicy była przez półtora roku jedynie, szkoły — o, szkoły szczególnie, bo to była jakaś niezwykła ambicja. Niech pan popytta zresztą Edka Dę-

ściach — Grzeskiewicz odparł: „A bo to prawda? Nie wiem, skąd takie opinie. A w ogóle czym oni różnili się od chłopów?” Ratuj mnie matko jakobińska, Elżbieta Kaczyńska, bo zgine. Były I sekretarz, którego chciałem mieć za świadka oskarżenia, odmalował mi laurkę, a czas mam tylko do jutra.

Jutro Dębowski zabiera mnie w teren, na Zjazd Absolwentów i Uczniów Szkół Zawodowych w Wysokiem Mazowieckiem — w 47 rocznicę zorganizowania pierwszej średniej Szkoły Handlowej Koedukacyjnej. Tam pewnie trafię w sam środek zwirowu, który będzie mnie obmacywał trzema palcami i wyalienuje z siebie, bo szarak gardzi chłopem, a ja w ankietach personalnych wszędzie mam wpisane pochodzenie chłopskie. O tej pogardzie, „jaką [...] szarak odczuwał dla chłopów, pisze się bardzo szeroko. Konsekwencją była całkowita izolacja, wyrażająca się przede wszystkim w braku małżeństw mieszanych. Kiedy w jednej z podlaskich wsi córka zamożnego chłopca wyszła za mąż za biednego szlachcica, pamiętano o tym przez wiele lat. Jeden z informatorów [...] urodzony w 1967 r. stwierdził: «jakby się gdzieś szlachcie z włościanem żenił, to ludziom tak dziwne było, jakby konia do krowy puścił»” (Kaczyńska na stronie 270). Raszim, ksenofobia! Ale odwracam dziełko o stron 35 wstecz i czytamy: „tablica 1 informuje o małżeństwach mieszanych — procent tych małżeństw okazał się nadspodziewanie wysoki [...] W przededniu reformy włościaninowej (tzn. w latach 1860–62) stanowiły one w parafii Rutki 15 proc., a w parafii Szumowo aż 25 proc. ogólnej liczby małżeństw zawartych przez osoby drobnoszlacheckiego pochodzenia” (Jerzy Szumski: „Problem izolacji społecznej drobnej szlachty przed 1864 r.”). Raz jeszcze czepiam się „ciemnoty i hołdownictwa zabobonom”, bo „pozostawiona sobie drobna szlachta mało miała okazji, by nauczyć się czytać i pisać” (Kaczyńska, strona 264), a 22 strony dalej, i znowu w tabelkach, Adam Dobroński udowadnia, że najmniej analfabetów było w najbardziej szlacheckim powiecie, tj. mazowieckim.

II. TO TRZEBA SPRAWDZIĆ

— Nie będą się przyznawać — ostrzega Dębowski, kiedy przed „Przepiórecką” wsiadamy do fiata 126 p. z jego synem, studentem Filii UW za kierownicą. — Zresztą, wie

na, Kieniewicz i Sreniowskiego, na których Biernacka się powołuje w swojej pracy) zgadza się i to, co powiedział Dębowski: że u nich częściej była jeszcze gorsza bieda. Najpierw w zachodnich guberniach Rosji przetrzebił szlachtę Paweł I, potem Aleksander I; delikatnie jeszcze, tylko administracyjnie, przez skreślenia z rejestrów szlacheckich „tych wszystkich osób, które dostąpiły uznania godności szlacheckiej jedynie na podstawie metryk chrztu”. Mikołaj I, po powstaniu listopadowym, nacisnął mocniej: w zachodnich guberniach skonfiskował 3000 majątków, a ukazem z października 1831 roku zrównał szlachtę polską z rosyjską generalnie. Termin „szlachta” został wykreślony z urzędowego języka, a pojawili się „potomstwienni” i „liczni”. Ważna jest i ta informacja, podana przez Sreniowskiego, a zacytowana przez badaczkę szlacheckiego drobiazgu, że po powstaniu listopadowym „blisko 50 tysięcy rodzin przesiedlono w głąb Rosji (nad Wołgę, na Kaukaz i na Sybir)”, a także kolejna informacja, że po powstaniu styczniowym, co wyliczył Korzon, zesłano na Syberię 18 637 osób, wśród których — w co nie wątpi Biernacka — trzon stanowiła szlachta. Dalej już tylko za Biernacką powtórzę: „niestrępowana swoboda drobnej szlachty w rozporządzaniu swoją fortuną doprowadziła w ciągu wieków do owej wielce skomplikowanej szachownicy ich ziemi. Podobnemu rozdrobnieniu nie uległy nawet gospodarstwa chłopskie, ponieważ chłopcy nie posiadali nieograniczonego prawa rozporządzania użytkowaną przez siebie ziemią” — to po pierwsze. Rujnowały szarakowi procesy — to po drugie. Nie korzystali z serwitutów dworskich po roku 1864 — to po trzecie. Mieli ograniczone możliwości korzystania z kredytu — to po czwarte. I grunty w szachownicy — to po piąte. Dębowski też pamięta u panów szlachty działki na pięć skib szerokie i na trzy kilometry długie, takie, że „jak się szlachcic położył na swoim, to nogami ssiadłowi wlażył w szkodę”.

Byli przewodniczący Powiatowej Rady w Wysokiem wie, jak było. Nawet bez Biernackiej, bo z własnych studiów nad dziejami swojej ziemi, z własnych przeżyć i obserwacji do wojny i po wojnie. Objaśniam, co to była szlachta wylegitymowana przed Haroldia i ta nibyszlachta, która zachowywała tylko pamięć herbu i pochodzenia, spychana



coraz bardziej w dół, szczuta i zaszczytowa, zagubiona przez świadomość przywilejów zapewniających prawa i pomyślność magnaterii, właścicielom folwarków nawet, a nie jej. Nierealna, nierzeczywista, przyrównywana przez niektórych publicystów do synów Izraela, pozbawionych własnej ziemi choćby pod stopy, trzymająca się kurczowo herbu, który nakazywał honor, a honor nie pozwalał korzystać z ziemi „cudzej”; tej parcelowanej przez kolejne uwłaszczenia i reformy, aż po ostatnią, tę z roku 1944. „Jak wariaci brzytwy, tak się trzymali. No czego? Że tak powiem — powietrza, bo to powietrze w końcu było, te herby”. To już nie Dębowski, a jego ojciec, osiemdziesięcioośmioletni starszek, chłopski Colas Breugnon z Osip, do którego pojedziemy po Zjeździe Absolwentów.

III. ZABAWA

Przez kilka godzin koleżeńskich fety, która nazywa się oficjalnie I Zjazdem Absolwentów, jestem tylko przyjacielem, znajomym Dębowskiego. Zachowaniu incognito sprzyja też obecność dziennikarza z białostockiej „Gazety Współczesnej”, który pracownie zapisuje wystąpienia i dramaturgię akcji.

Ale w końcu się sypie: — Co zostało ze szlachcica?

— Dziennikarz? Maciejewska, z domu Dąbrowska herbu Zabawa. Słucham pana.

Myślałem, że nie będą się przyzwierać, zgodnie z zapowiedzią Dębowskiego. Może ten Zjazd ich rozmiękczył? Te kaliny, ostróżki, rumianki i niezapominajki w bukietach rozdawanych przez uczennice czy rzewna-minuta ciszy, dana tym, co poległ? Widziałem, jak ścierali wilgoć z oczu, kiedy szkolny zespół śpiewał „Nie zobaczysz matko syna”.

— Wiele nas nie ma — mówi Maciejewska, z domu Dąbrowska. — Wie pan, my nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko AK. Tak nam się przynajmniej wtedy wydawało. A skąd wiem, że herbowa? O, to się wie. Zresztą i herb nam się zachował w sposób prawie cudowny. Ojciec schował go w budynku gospodarczym za podwójny szalunek, a kiedy brat wrócił ze wschodu i poprawiał budynki, odnalazł go w całkiem dobrym stanie. Myszy obgryzły mu tylko brzegi, ale niewiele. Czy byliśmy inni od chłopów? Trochę, troszeczkę. Z tego, co pamiętam, to u nas było święte i przekleństwo wypada, boś szlachcie. Święte, bo zabawy były spokojniejsze, bo trzeba było podciągać się w staranności o gospodarstwo i o siebie, ale przekleństwo w mniemaniu, że szlachcicowi nie wypada zajmować się handlem czy rzemiosłem. To nas gubiło: ten bardzo zły przesąd, kardynalny błąd. No, co jeszcze, co jeszcze? Aha: na naszych zabawach był biały mazur nad ranem.

— Pięknie — tańczyłaś — wtraca prawie rozmarzony Zbigniew Skolimowski, działacz sportowy ze

Szczecina, podobno herbowy, ale nie chce się przyznać. — Trzeba o tym zapomnieć — odpięra każda próba ustaleń.

— Tak, nie ma co się wstydzić, ale i afektacja czy afiszowanie są całkiem zbędne. Opowiem panu anegdotę o szlachcie na dzisiaj. Mój brat, Dąbrowski, otrzymuje niedawno (za zaliczeniem pocztowym, a jakże) fotograficznie wykonany herb Dąbrowa. Ponieważ dołączony był adres autora fotografii, idę do niego i mówię, że wprawdzie my Dąbrowscy, ale herbu Zabawa, a poza tym: po co nam taki herb? Autor przeprosił grzecznie, ale ja byłam ciekawa, jak on na to wpadł: fotokopie, masowo, za zaliczeniem. Więc pytam. A on mi na to, że próbował ostrość obiektywu, zdjął sobie przypadkowy rysunek herbarza i pochwalił się jakością odbitki znajomym w eleganckiej restauracji. Ponieważ kupili od ręki i za grube pieniądze, a przy tym złożyli dalsze zamówienia, to on zajął się produkcją herbów. Ma świetny biznes!

— A gdzie mieszka?
— W Białymstoku.
— Szkoda! Myślałem, że w Warszawie.

— Kupiłby pan?
— Nie, ale mam kilkudziesięciu klientów. Często dobrych znajomych, którzy mają już wszystko, czego szczęściu trzeba, prócz herbu.

— To pewnie tacy, którzy widząc w miejskich sklepach albo w szkołach nasze spracowane, zgrubiałe od roboty i czarne od grzebania w ziemi pazury mówią o nas: chamy?

— Skąd pani wie?

Maciejewska, z domu Dąbrowska herbu Zabawa, rozpromienia się w uśmiechu, a ja myślę, że była kiedyś śliczną dziewczyną, która pięknie tańczyła.

Dopiero po Zjeździe Dębowski powie mi o tym, co widział, a czego ja nie widziałem. Ze ten w komplecie z taksu lekko lisyjający blondyn, byłego dziedzica syn — rznał pana. Ze drugi też trochę, ale jakby mniej. Inni może w ukryciu, po ciuchku, tak żeby „ani widu, ani słychu”. A wszyscy? Wszyscy rozczuli się do szkolnych murów i chwaliли władzę ludową za mury nowe i za taką młodzież, jaka jest teraz. „Co za młodzież, co za młodzież — powtarzał Skolimowski — myśmy nie byli tacy. Zdrowi, szlachetne twarze. No, zabij, w mieście takiej nie masz”.

Przy obiedzie mój sąsiad od talerza, Jan Wojtkowski, pyta, czy czytałem „Konopielkę”.

— To tak było — zapewniam. — Jeszcze moja matka chodziła ściąć sierpem, a kosa była niecodzienną sprawą. Mój wuj, Paweł, wzenił się w szlachciców, a kośnik był pierwszorzędnym, i kiedy do żniw wyszedł, to mówili: zobaczmy, jak ten cham będzie kosą kosił.

— Tacy byli zacofani? — dopytuje.

— My tu wszyscy byliśmy po jednych pieniądzech. Wie pan, już po

wyjeździe stąd (od 1948 roku jestem w Warszawie) pojechałem w Kielecie. Rozmawiam z wiejską kobietą, a ta mnie pyta, skąd nogi rosną. No to ja mówię wie pan co. A ona: „Nie, mój synu. Nogi rosną z ziemi. Tylko z ziemi, synu”. Nie widzi pan związku? A ja widzę. Oni tam wszyscy byli jakby bardziej otrzaskani, dojrzalsi społecznie, wypyskowani w dyskusjach. To jest wskazówka.

Po obiedzie (zupa grzybowa, zraz z frytkami, kompot i po jakieś 70 gram na głowę, co to jest?) kończy się Zjazd. „Gwiazda Syberii”, czyli Rembiszeńska z domu, odczytuje szkolną encyklopedię: „Awantury arabskie” — czesne nieopłacone; „Ogniem i mieczem” — posiedzenie rady pedagogicznej; „Bez dogmatu” — polityka Wysokiego Mazowieckiego”. Władysław Grabiński, ich nauczyciel, ich kochany nauczyciel, dziekuje inicjatorom i organizatorom, a szczególnie podkreśla występ młodzieży, który był „taki nasz, taki polski, taki podlaski, stąd — z zaciąganką”.

Koniec zabawy. Stanisław Gołaszewski z Golasz, dowódca oddziału AK w powiecie Bielsk Podlaski, doprowadza nas do samochodu: Dębowskiego, sąsiada z Osip i mnie, który ma napisać. O czym? O tym, że jego ojciec wyjechał za chlebem do USA i że on, Gołaszewski, tam się urodził, ale Stany ma w dużym poważaniu. O tym, że w Brzóska Brzezińskich był pastuchem, a potem, żeby jakoś skończyć szkołę, pracował w zlewni od trzeciej do siódmej. No, nie po południu, a nocą, co może mieć niejakie znaczenie. O tym, że przed październikiem pracował w PRK-6 w Szczecinie jako kierownik wydziału zaopatrzenia i że za najmniejszy defekt musiał siedzieć. A kto lepiej nadawał się na sabotażystę, jak nie on — były dowódca z AK? To jasne.

— Więc nie pisz pan o tym, choć powiedziałem. Napisz pan, że jesteśmy, żyjemy, wśród swoich. To ważne!

— W Golaszach to była szlachta. o ho ho — twierdzi dziadek Dębowski, a to „o ho ho” ma w sobie dużo treści. — Szlachcianka ze mną tańczyć nie chciała, bo chłop byłem, a chłop, wiadomo, surowcem śmierdzi.

— Ale zakochał się dziadek w szlachciance?

— A jakże?
— No i co?

— A co miało być. Przerznąć można było, pobawić się, ale spać na jednej poduszce nie. To i po co mi taki interes?

IV. OSTATKI

Tymiński z Ciechanowca, szef miejscowego GOK-u, otrzaskany i wygadany, upewnia się, czy ja nie kpię. Bo jeżeli tak, to proszę, napowiadaj mi bajek. O tym, jak szlachcie pisał list do papieża i zre-



dagował go tak: „Wasza świątobliwość! Nie piszę bracie, bo nie wiem czyś szlachcie”. Może mi też powiedzieć, co zostało ze szlachcica.

— A co?

— Dwa psy w tarczy. Jeden sra, a drugi warczy.

— No, a na serio?

— Wiem i nie wiem.

— A co pan wie?

— Tyle tylko, że dowiedziałem się o tym w pierwszej klasie podstawówki. Dzieci z Kuczyna, z Malinowa i Gródka, przeciągając tak zabawnie „e”, wołały na nas: „Ee, szlachta, biała płachta”.

— A wy na nich?

— Ojciec w domu mi powiedział: „Mów na nich gracie”. A kolega podpowiedział, żeby tak: „Brydz, kic, nie ma nic, tylko jedno koze, co się wysrać nie może”.

— Zabawne...

— Zależy komu. Uczył się pan historii? Właśnie: ile razy na lekcji padało słowo „szlachta”, ile razy padały oskarżenia o wyprzedaż polskich interesów, o warcholstwo, o szlachecką ciemnotę i wyrządzaną przez szlachtę krywdę innym stanom — ci z Gródka, Malinowa i Kuczyna patrzyli na nas jak na drani. Dlatego w naszym odczuciu, dzisiejszych 30–40-latków, określenie „szlachcie” brzmiało zawsze negatywnie.

— Przejmuje się pan?

— Ani trochę. Kto siał, orał i pazurami trzymał się ziemi, tymi samymi pazurami, którymi gnój rozwałował i szarpał się ze swoją biedą, będzie szarpał się z nią dalej. Znalazł pan w okolicach Wysokiego gospodarstwa zle? Albo Państwowy Fundusz Ziemi? Nie? A widzi pan — tradycja.

Fot. GABOR LÖRINCZY



penetracja



Polaków przeszłości czytanie

Tak się złożyło, że bezpośrednio przed wyjazdem do Łomży otrzymałem egzemplarz sygnały świeżo wydanej książki pt. „Życiorysy historyczne, literackie i legendarne”. Pozycja ta ukazała się nakładem PWN-u, a jest ona rezultatem redaktorskiej współpracy polonisty, pani Zofii Stefanowskiej, i historyka, tzn. mnie, Wspomniana książka zawiera życiorysy wybitnych postaci, od Bolesława Śmiałego aż po Jarosława Dąbrowskiego, ogółem — 11 biografii. Nie chodzi jednak o nie, lecz o ich „życiorys pośmiertny”. Różni autorzy pokazują w tej pracy, jakie były zmienne koleje sławy i opinii o osobach przedstawionych w owej książce, jak w niektórych okresach historii szły one w zapomnienie, a w innych stawały się sztandarem aktualnego kierunku w państwie na danym etapie. W sumie jednak można powiedzieć, że przy zbieraniu materiałów do tego wydawnictwa potwierdziła się raz jeszcze prawda, bardzo charakterystyczna dla polskiego stosunku do tradycji historycznej, mianowicie pewna stabilność ciągu bohaterów. Swego czasu zadałem sobie trud i porównałem zestaw postaci, których monografie, na prośbę Stanisława Augusta Poniatowskiego, napisali ówczesni historycy (a chodziło mu m.in. o Jana Karola Chodkiewicza, Stanisława Żółkiewskiego, Jana Sobieskiego) z nazwiskami bohaterów, którym Biblioteka MON-u w serii „Bitwy — Kampanie — Dowódcy” poświęciła już kilkanaście tytułów. Właściwie wszystkie postacie, które nasz ostatni król uznał za godne uwiecznienia, weszły do pocztu bohaterów MON-owskiej serii. Z drugiej zaś strony nie powiodły się na dłuższą metę próby dopisania nowych bohaterów do tej listy ludzi zasłużonych dla kraju. Myślę tu przede wszystkim o Kście Napierskim, który (jak to wynika z najnowszych badań) był kondotierem sprzymierzonym z pewnym z Jerzym II Rakoczym. Mam również na uwadze Jakuba Szczęgę, co do którego nie ulega dziś wątpliwości, że odegrał złowrogą rolę, gdyż wystąpił z inspiracji austriackiej przeciwko ruchowi powstańcy mu. Dałem te przykłady, by pokazać, że stabilność ocen zyskuje potwierdzenie po przebadaniu nowych materiałów źródłowych, i to nawet w okolicznościach, w których, zdawałoby się, powinniśmy dokonywać najbardziej radykalnych rewizji, jeżeli chodzi o wybór tradycji.

Nie jesteśmy jednak pierwsi w takim podejściu do przeszłości. Światowy wybór tradycji historycznej po raz pierwszy nastąpił już za czasów Oświecenia, które programowo odwróciło się od wieku XVII i niejako manifestacyjnie nawiązywało do epoki Renesansu. Z kolei, przez wiele lat po drugiej wojnie światowej, jako godne przypomnienia tradycji, były lansowane czasy Odrodzenia, Oświecenia i Pozytywizmu, gdy dzisiaj widzimy, że zainteresowania ludzi zmięrzają w stronę epok programowo im przeciwnych: sarmatyzmu, jako okresu, w którym kultura polska uzyskała wysoki stopień oryginalności oraz samodzielności i Romantyzmu. Jeżeli spojrzemy na wystawę „Polaków portret własny” zorganizowaną przed rokiem w Muzeum Narodowym w Krakowie przez Marka Rostworowskiego, to zauważymy, że jest ona zdominowana przez portret sarmacki. Ekspozycja ta ściągnęła ogromne rzesze widzów, podobnie jak — nie tak przecież dawna — wystawa „Romantyzm i romantyczność”, prezentowana w warszawskiej „Zachęcie”. Oczywiście, przykłady dzisiejszej popularności tych dwóch epok można by mnożyć.

Jakie dalsze zmiany nastąpiły w naszym stosunku do tradycji? Odchodzimy chyba w ostatnich latach od czarnowidztwa, które rozwijało się w dwóch kierunkach. Jeden z jego nurtów wypływał z pewnego nihilizmu narodowego, z negowania sensu jakiegokolwiek zbrojnego wysiłku w obronie utraconej niepodległości. Mam tu na uwadze głośne spo-



ry z szydercami, polemiki wokół „Śmierci porucznika” Sławomira Mrożka, utworu mówiącego o Ordynie. Drugi — brał się z wąskiego, ekonomicznego widzenia minionych czasów. W tej optyce podkreślano, że dawna, przedrozbiorowa Polska to ciąg katastrof politycznych i ucisku chłopów. Swoją drogą, nie bardzo można było zrozumieć, jak ów chłop mógł dożyć do okresu uwłaszczenia, skoro w szkolnych podręcznikach historii, w częściach poświęconych stosunkom społeczno-gospodarczym pisano, iż struś ucisku pańszczyźnianego ustawicznie się zaciskała. Z tych dwóch pesymistycznych kierunków jednak wychodził, przy czym owo czarnowidztwo miało bardzo niedobre skutki — nie dla wspomnianych szkolnych kompendiów. Przemieszanie one zarzysy historii z książek, które powinny mówić o blaskach i cieniach przeszłości niemalże w podręcznikach medycyny. Otóż, jeżeli czytało się nawet rozdziały poświęcone Odrodzeniu, to autorzy uważali za swój obowiązek powiedzieć, jakie przejawy nieuchronnego upadku Polski można już było dostrzec we wszystkich dziedzinach renesansowego życia. Ten kliniczny sposób widzenia minionych epok (gdyż, jak wiemy, lekarzy interesuje chora, a nie zdrowy człowiek) dominował w rodzimych ujęciach przeszłości aż do lat sześćdziesiątych.

Oczywiście, można powiedzieć, że zmiana perspektywy badań, zmiana naszego stosunku do tradycji wpływała także z aktualnych zainteresowań badaczy. Jakub Burckhardt, wybitny historyk szwajcarski, zajmujący się dziejami kultury, powiedział kiedyś, że właściwie każde pokolenie tworzy historię swojej własnej generacji, wpisując jedynie dzieje w ramy tej czy innej epoki. Stąd po części biorą się nowe syntez historyczne. Dopóki istnieje historiografia polska, dopóty będą powstawać nowe ujęcia rodzimych dziejów, nie tylko dlatego, że wciąż są odkrywane nowe źródła historyczne, ale również z powodu stawiania przeszłości nowych pytań. Tu trzeba powiedzieć, że w ostatnim dziesięcioleciu wpływ teraźniejszości na tradycję nabrał specyficznych form. Wskutek ograniczeń cenzuralnych była to dyskusja o przeszłości w dużym stopniu szyfrowana, dyskusja, w której mówiło się o wieku XIX czy XVIII, ponieważ nie można było powiedzieć pewnych rzeczy wprost o aktualnej rzeczywistości. Zresztą, w Polsce polemiki historyczne bywały dość często szyfrowane, szczególnie dotyczące faktów, które co jakiś czas powtarzają się w naszych dziejach. Mam na myśli rozbiory, które Polska przeżyła nie tylko u schyłku XVIII wieku, oraz powstania narodowe. To wpisanie naszej historii w powstania i rozbiory sprawiło zresztą dodatkowe umocnienie się pesymistycznego kierunku patrzenia na dzieje. Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, że jeżeli wypowiadamy się o wielkich wydarzeniach naszej kultury czy gospodarki, to przeważnie mówimy tak: było to w okresie międzypowstańowym (a więc między jednym kataklizmem a drugim). Owe podkładanie pod powstania i rozbiory różnych treści interesujących ludzi współczesnych sprawiło m.in., że sztuka Jerzego Mikkego „Niebezpiecznik”, panie Mochnacki”, napisana w 1973 r., dopiero te-

raz mogła mieć swoją emisję telewizyjną.

Rozbiory były faktem, który zderzał myślenie Polaków i przenikał naszą tradycję historyczną. Z licznych na to przykładów przypomnijmy tylko, że od schyłku XVIII w. każdy spór o rolę szlachty w naszych dziejach kończył się pytaniem: przyczyniła się do upadku Polski i rozbiorów czy nie przyczyniła? Każdy spór o źródło rozbiorów kraju był zarazem wielką batalią między pesymistami a optymistami, pomiędzy tymi, którzy twierdzili, iż Polska upadła z winy własnych obywateli, a tymi, którzy tak pisali, jak Hugo Kołłątaj pod koniec XVIII stulecia, mianowicie, że padła ofiarą spisku, sprzymierzonych przeciwko nam, potężnych sąsiadów. Zresztą, wybitny historyk polski, Władysław Konopczyński, po drugiej wojnie światowej powiedział, że nie wszystko to, co legło pod armatami, było zmuszane; czasem, po prostu zostało rozbite przemocą. Otóż, trzeba tu powiedzieć na pochwałę aktualnych podrećników szkolnych, że nie ma w nich obecnie ujęć traktujących rozbiory jako tragedię wynikłą wyłącznie z winy samych Polaków. Tego typu interpretacje występują już jedynie w podręcznikach obcych, m.in. zachodnio-niemieckich, chociaż i z nich powoli ustępują.

Oprócz sprawy rozbiorów centralna była także kwestia powstań. Jeżeli uznamy, że Konfederacja Barska była ostatnim rokokiem szlacheckim i zarazem pierwszym powstaniem narodowym, jeżeli zgadzamy się z opinią Kalabińskiego i Tycha, że rewolucja 1905 r. była czwartym powstaniem narodowym i pierwszą rewolucją, to można powiedzieć, że od dwustu lat wybuchły w Polsce co 30–40 lat nowe powstania. Stosunek do tych powstań, do ich zasadności i szans, stał się zawsze okazją do wielkiej dyskusji na temat naszego stosunku do tradycji polskiego losu narodowego czy też najlepszych sposobów pracy dla społeczeństwa. Myślę, że obecnie obchodzona rocznica Powstania Listopadowego znowu te same watki podejmie.

Co mnie najbardziej z historią Polski w wiekach XVI–XVII interesowało i interesuje, jeżeli idzie o wybór tradycji? Otóż: próba stworzenia na terenie Rzeczypospolitej szlacheckiej innego niż u sąsiadów modelu państwa. Polski eksperyment był potrójny: ustrojowy, wyznaniowy i kulturowy. Pierwszy z nich polegał na przeciwstawieniu sąsiadom despotyzmowi swobodę jednej warstwy (ale gdzie w ówczesnej Europie był kraj, w którym by wszystkie warstwy miały te same swobody?), drugi — na budowie „państwa bez stosów”, trzeci — na próbach stworzenia form cywilizacyjnych, które stanowiłyby stop wpływów wschodnich i zachodnich, a znalazłyby wyraz w — tak silnie przenikniętym wpływami orientalnymi — sarmatyzmie.

Patrząc po wiekach na kulturę szlachecką, najbardziej aktualne w świetle wydarzeń XIX i XX stulecia wydają się elementy ideologii politycznej tej warstwy, krócej mówiąc — elementy antytotalitarne tejże ideologii. Z nich bierze się m.in. walka o wolność słowa. Warto tu przypomnieć, że gdy w 1534 r. szlachta zbierała się na sejmiku w Srodzie i uchwałała postulat swobodnego głoszenia Słowa Bożego, to był on jednym z sygnałów powstania polskiego ruchu reformacyjnego. Niedługo potem szlachta wystąpiła o prawo nieskrepowanego druku ksiąg dotyczących wiary i o zniesienie cenzury kościelnej. Zresztą, jeszcze w sto lat później, w dobie nadciągającej kontroformacji, kiedy Samuel Bolesławski zostaje skazany za opublikowanie dzieła propagującego ideologię kalwińską, w sejmie wybuchł olbrzymi protest. Roztrząsa się problem, co stanie się z państwem, w którym wolny obywatel — szlachcic — nie będzie mógł swobodnie publikować dzieł i swobodnie głosić swoich poglądów.

Dalszym, bardzo istotnym wyróżnikiem ethosu szlacheckiego było umiłowanie wolności, poczucie, że społeczeństwo zawiera pewne pakiety z władzą np. „pacta conventa” czy „artykuły henrykowskie”, które muszą być przez obie strony przestrzegane, oraz przekonanie, że obywatele szlacheccy mają prawo od-

mówić władcy posłuszeństwa, jeżeli złamie to porozumienie.

Tak się złożyło, że wskutek specyficznych warunków ustrojowych i historycznych, ujemne cechy ideologii szlacheckiej dały o sobie znać dodatkowo w XIX wieku, w dobie rozbiorów. Konserwatyzm, idący przecież za daleko, zamieniał się w przywiązanie do tradycji historycznej apoteoza opozycji politycznej — w opór wobec wszelkich zaborców, poczucie nadrzędności obywatela nad państwem dawało asumpt do kolejnych prób walk o niepodległość.

Państwo, które nie było tak silnie rozwinięte, jak absolutystyczny sąsiedzi w XVII wieku, jednocześnie zapewniło swoim obywatelom możliwość inicjatywy oddolnej, która okazywała się dla Polski zbawienne w chwilach ciężkich. Przypomnieć tu wypada zdarzenia, co do tragizmu których nie bardzo zdajemy sobie sprawę. W roku 1655 przechodził najazd szwedzki, król wraz z dworem ucieka na Śląsk, przestając działać centralne władze Rzeczypospolitej, wojsko koronne przechodzi na stronę Szwedów — wszystko wskazuje na to, że nadszedł kres państwa polskiego, tym bardziej że już są zawierane pierwsze traktaty rozbiorowe dzielące całą Rzeczpospolitą pomiędzy sąsiadów. W tej, zdawałoby się beznadziejnej sytuacji szlachta zbiera się po powiatach, uchwała na własną rękę podatki i pospolite ruszenie, występuje zbrojnie przeciwko najazdźcy. Kiedy król wraca do Polski, zastaje już gromadny ruch ludzki walczących o niezawisłość.

Wiemy dobrze, że tradycje historyczna kształtują w tej chwili środki masowego przekazu. Chciałbym zwrócić uwagę na pewien fakt. Z naszych statystyk wynika, że trzy filmy polskie zyskały największą ilość widzów. Są to, wymieniamy w porządku epok, których dotyczyły: „Potop”, „Popioły” i „Hubal”. Dotyczy one tego samego problemu: co ma robić szeregowy obywatel Rzeczypospolitej w momencie, kiedy cały kraj zalany jest przez wroga, a centralne instytucje i regularna armia przestały istnieć: gdy pojawia się konieczność inicjatywy oddolnej, konieczność samodzielnego wystąpienia; w obliczu narodowej klęski na skraju przepaści.

Wskutek słabości miast i ucisku chłopów, chociaż nie tak silnego, jak dawniej o tym pisano, właściwie kultura szlachecka była bez alternatywy kulturowej, tzw. inne warstwy społeczne nie wytworzyły pewnych typów cywilizacyjnych, które mogłyby z tą kulturą konkurować. Stąd strój szlachecki staje się strojem ogólnonarodowym, co w XIX wieku miało swoją silną wymowę literatury ziemiańska wyraża również pewne postawy mieszczańskie a „sarmata”, który oznaczał w XVII w. szlachcica, w XIX stuleciu staje się synonimem wolnego Polaka, pobawionego Ojczyzny, ale robiącego wszystko, aby tę Ojczyznę, wywalczyć.

To, co powiedziałem, nie znaczy, że kulturę szlachecką należało uważać za wyłącznie pozytywną i idealną dorobek naszych przodków. Na pewno tak nie było i podobne ujęcie byłoby nienaukowe. Z drugiej jednak strony nie można sobie wyobrazić kultury ogólnonarodowej bez istnienia w niej i przetrwania elementów kultury szlacheckiej. Poznanie tych elementów jest niezwykle istotne w procesie narodowej autoidentyfikacji, poszukiwania historycznej tożsamości.

Prof. dr JANUSZ TAZBIRA

Powyższy tekst jest autoryzowanym skrótem wystąpienia prof. dr. Janusza Tazbiry na spotkaniu w Łomży, z okazji wręczenia Mu nagrody wojewody łomżyńskiego, przyznawanej dorocznie za najlepsze prace naukowe i literackie o tematyce staropolskiej.



Mówienie o przeszłości politycznej Ziemi Łomżyńskiej bez głosu Mieczysława Czarnieckiego nie może być pełne, był on bowiem jednym z najbardziej dynamicznych jego organizatorów. Inicjator powołania do życia pierwszej spółdzielni, wydawca „Wspólnej Pracy”, poseł na Sejm z mandatu bloku lewicy, znał wszystkie mechanizmy, rozumiał historyczne i materialne źródła zachodzących tu procesów.

Kochane Dzieci!

Uczuciowo nie mogę pogodzić się z myślą, że cudowne zjawisko życia człowieka z jego odczuciami chwil radości i smutnych, przeżywaniem wzlotów nadziei i tragedii, upadków i poniżeń, a zwłaszcza zadziwiająca praca mózgu naszego kończy się nicnością wraz ze śmiercią.

Wewnętrzny nakaz zmusza mnie do pisania wspomnień, żebyście mogli gruntownie poznać swego ojca, gdy mnie już nie będzie. Obrazy przeszłości są fragmentami przeplatanymi szarżowaną dni powszednich, dni pracy i zjadania chleba codziennego. Jednak rzucają one światło na wartość człowieka, który je przeżył.

Wierzę mi, że we wspomnieniach mogłem się pomylić w niektórych szczegółach, ale nie nie skłamałem świadomie.

Urodziłem się w Łomży 29 grudnia 1887 r. Ojciec był telegrafistą. W domu było nas sześćoro dzieci: pięciu chłopców i jedna dziewczyna. Trzy dziewczynki zmarły przedtem.

Łomża jako miasto gubernialne była siedzibą carskiego gubernatora, miała sąd okręgowy, urząd skarbowy, urząd kontroli, urząd pocztowo-telegraficzny, gimnazjum męskie, gimnazjum żeńskie i więzienie trypietrowe.

DZIECIŃSTWO

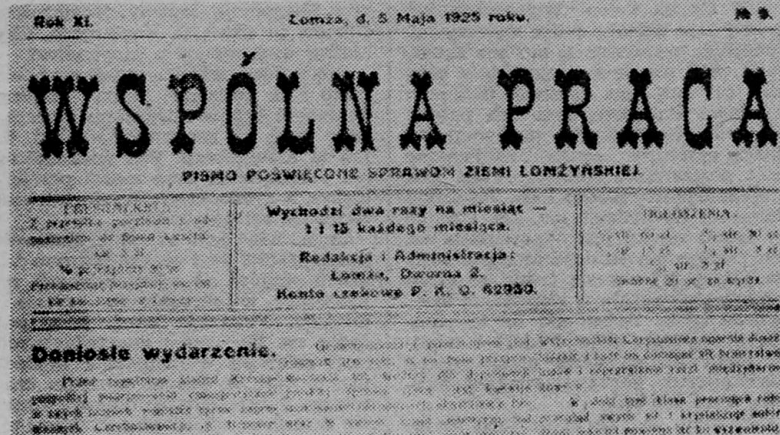
Pamiętam słoneczny dzień, żółty piasek dookoła wykopanego grobu i trumienkę, którą na sznurach spuszczano do dołu. Rwałem się do trumienki i krzychałem „Nie dam Helenki!”. Miałem wtedy cztery lata. Było to w Grajewie. Wkrótce potem przyjechała babcia z Łomży w odwiedziny. Gdy po odwiedzinach zajechała po babcię karetka, uparłem się, że pojadę z babcią do Łomży. Po krótkiej naradzie mama zgodziła się. U babci w Łomży przy ul. Krótkiej 1 bardzo dokazywałem. Wobec tego babcia umieszczała mnie u prywatnej nauczycielki, pani Goniszewskiej, która mieszkała naprzeciwko kościoła „Panien”. [...]

U pani Goniszewskiej były dzieci w różnym wieku. Jedne uczyły się grać na fortepianie, inne pisały dyktando lub przepisywały z książki, a ja kaligrafowałem kreski i kółka, a potem wodzilłem piórem po literach zaznaczonych wodnymi znakami na papierze. Mimo tej wczesnej nauki kaligrafii mam nierówny charakter pisma.

Pani G. była małego wzrostu i garbata, a męża miała wysokiego wzrostu. Gdy stali obok siebie, sięgała mu nieco wyżej pasa.

Potem uczył mnie nauczyciel szkoły powszechnej, Weryho, który mieszkał na Krzywym Kole. Później rok chodziłem do szkoły powszechnej. Tu uczyli mnie Zdanowicz i Emil Jan Gundlacki. Po roku zdałem do wstępnej klasy gimnazjum. Dwa budynki poklasztorne O.O. Pijarów stały równoległe do uliczki prowadzącej z Nowego Rynku koło narożnej restauracji „Rembielin” do szpitala św. Ducha. Restaurację prowadził Pałowski, a w czasie Polski międzywojennej — Józef Iwanicki, były ulan, który uczestniczył w szarży pilsudczyków na piechotę rosyjską pod Rokitną. W tych budynkach mieściło się gimnazjum. W ogrodzie, który sięgał do Nowego Rynku i ul. Zajazd, były stare lochy. [...]

Dużym przeżyciem była dla nas przymusowa wycieczka do stacji Czerwonoy Bór na spotkanie cara Mikołaja II. Już w klasie pierwszej gimnazjum wpadła mi do rąk gazetka „Polak” (naturalnie tajna) o charakterze powstańczym i demokratycznym. W tym czasie wzruszył mnie reprodukcje Grotgera o powstaniu. W klasie drugiej stałem się kolporterem „Polaka”. W klasie trzeciej zacząłem czytać „Przegląd Wszechpolski”. Obydwa pisma wydawała „Liga Narodów”, prowadzona przez Romana Dmowskiego, Zygmunta Balickiego i innych. Od razu zauważyłem inne nastawienie w „Polaku” i inne w „Przeglądzie Wszechpolskim”. Pobudziło to moja



czujność. Byłem gorącym zwolennikiem powstania narodowego, a w „Przeglądzie” napotykało się o realizmie i liczeniu się z rzeczywistością. Otworzyły mi się oczy, gdy przeczytałem „Myśli nowoczesnego Polaka” i „Egoizm narodowy wobec etyki” Balickiego. W dyskusji z kolegami uznaliśmy stanowisko „Ligi Narodowej” za zdradę ideałów powstańczych.

Ktoś dostarczył nam broszurę: „Kto z czego żyje?” Miota. Zaświtały w naszych mózgach nowe myśli. Przeczytałem „Kobiety i socjalizm” Bebla, „Program Eufuroki” Kautskiego, potem artykuły Libknechta i wiele innych broszur. Wkułem ekonomię polityczną Grabskiego itp. W roku 1903, będąc w czwartej klasie, zorganizowałem z kolegami Koło Związku Młodzieży Socjalistycznej. Członkami byli: Witek Suchodolski, Rómek Jabłonowski, Władek Czyżewski, Stefan Piekarski, Stach Sie-

niczka z telegrafu zobaczyła, że wysiadam z dorożki, i powiedziała memu ojcu, z którym pracowała. Dostałem łanie za to, że przynoszę wstyd urzędnikowi. Ale pięciu kopieek nie mogłem oddać, bo wraz z kolegami z podwórka zdążyliśmy już zjeść chałwę kupioną u Szejnopa. Innym razem po wyjściu pasażerów znalazłem w karetkę paczkę z serdelkami. Nie namyślając się, skosztowałem wszystkie. I znowu była przeprawa z ojcem. Mimo pecha z serdelkami wspominałem je z przyjemnością, bo takich smacznych serdelków jak w Łomży nie spotkałem ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Austrii, ani w Szwajcarii, ani w Anglii, ani w Niemczech, ani we Francji.

Czeladź rzeźnicza

Najweselszym z wszystkich czeladników był czarny Janek. Spiewał bardzo często różne piosenki.

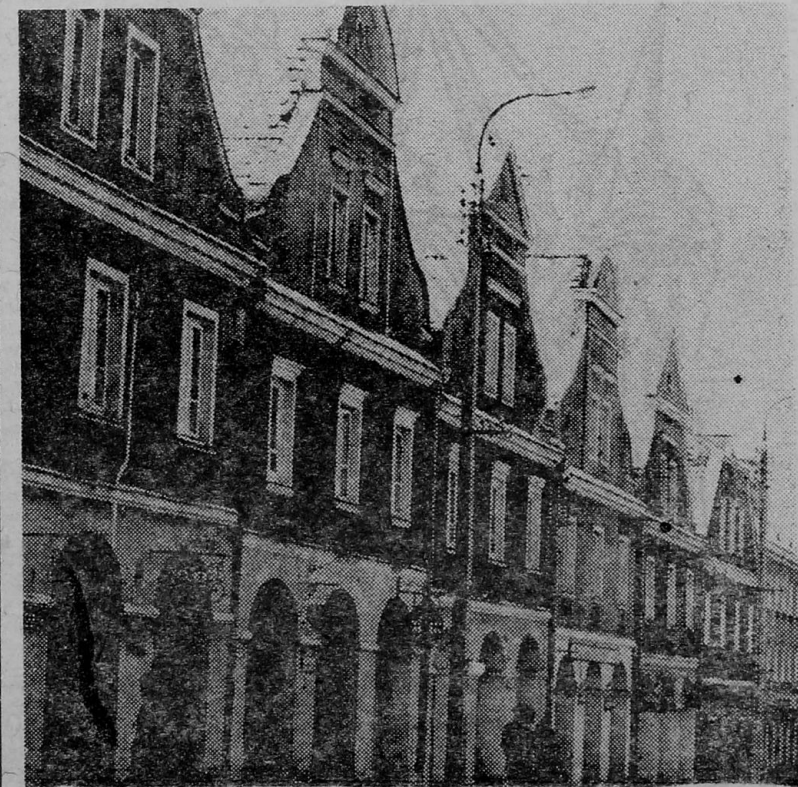
ojcowskie przestanie

nicki i ja. Nawiazaliśmy kontakt z robotnikami: Zagrobą, Jastrzębskim i innymi.

Dorożka

Z dziedzina poczty w Łomży co dzień jeździła karetka zaprzężona w trzy konie, która odwoziła pasażerów do dworca kolejowego w Czerwonym Borze. Stary woźnica Cieśniewski przed wyruszeniem wygrywał na trąbce sygnał. Na wygraną melodię ułożono słowa: „Z Warszawy do Łodzi karetka odchodzi, siadajcie, panowie, bo to już czas, bo to już czas...” Ta sama karetka, która mieściła dwanaście osób, wracali przyjeźdźni z Czerwonego Boru. Któryś z pasażerów z punktami zwrócił się do mnie z prośbą, żebym sprowadził mu dorożkę. Pobiegłem na Nowy Rynek i przyjechałem dorożką, za co dostałem srebrne pięć kopiejek, a za pięć kopiejek można było dostać chałwy, czekolady lub dwie bułki z serdelkami. Na moje nieszczęście urzęd-

Np. „Kaj to były one lata, co czelek użył na nich świata, jadał, pijał, pośpiewywał, co niedziela w karty grywał. Oj jody, jody, oj da dana, oj jody, jody, aż do rana”. Brać rzeźnicza miała też swoje ambicje. Każdy szczytelił się swoją siłą fizyczną. Gdy do Łomży przyjeżdżali siłacz i zapasnik, rzeźnicy występowali jako amatorzy w zapasach na arenie w cyrku z Kodorowskim w walce szwajcarskiej, na pasy, a z Jankowskim i innymi we francuskiej. Walka szwajcarska polegała na tym, że obaj zapasnicy młeli na sobie szerokie pasy z dwoma uszami, czyli uchwytami, od przodu. Chodziło o to, żeby trzymając przeciwnika za „usz” pasa przewrócić go w bok i położyć na plecach. Walką francuską nazywano dzisiejsze zapasy, w których przegrywał ten, który da się położyć na obie łopatki. Zdarzało się, że zawodowi siłacze nie mogli dać rady amatorowi rzeźnikowi. Była też raz walka z amatorem w masce, który położył siłacza na łopatki.



Poznaliśmy w zamaskowanym oficerze Brofczenkę.

Rok 1905 zaraził i brać rzeźniczą chęcią walki z caratem. Gdy pewnego razu oficer żandarmerii aresztował rewolucjonistę, czeladnik Adam Zaręba bez broni wyrwał go z rąk żandarmów. Wściekły oficer ciał Zarębę szablą w prawe udo. Zaręba, mimo rany, złamał mu szablę i uciekł.

Wyroby masarskie

Łomżyńskie firmy masarskie miały ambicję i konkurowały ze sobą smakiem wędlin. Na czoło wysunął się Jakubowski, za nim Moenke i Świtajewski. Bo też rzeczywiście smak kiszki kaszanej na gorąco był taki, że wszyscy jedli ją z przyjemnością, szynka była soczysta i miękka, okalający tłuszcz rozpuszczał się w ustach i był zostawiany tylko dla amatorów, bo w zasadzie tłuszcz ze skórą wędzoną szynki był sprzedawany oddzielnie jako skwarki. Drobnio siekana kiełbasa „krakowska”, wzbudzała podczas jedzenia jeszcze większy apetyt. Dzisiejsza serdelowa nie umywa się do niej. Mortadela, baleron, salcesony w różnych gatunkach były nie tylko smaczne, ale i robione w piękne wzory. Szczegółem doskonałości były serdelki. Mocno wędzone, podhajcowane i podgrzane na gorąco, rozplwały się w ustach i ociekały rozkosznym delikatnym tłuszczem. Serdelek za pięć groszy z bułką za dwa grosze był ucztą luksusową. Dziś niczego podobnego nie wyrabia się. Dzisiejsze kiełbaski to niemieckie Würstle, ordynarne w smaku. Parówki, zwane też z rosyjską sosyskami, były też doskonałe. Nie więc dziwnego, że gdy Bronisław Jakubowski otworzył swój sklep w Warszawie, nie mógł nadążyć z przysyłaniem wędlin, bo tak szybko były rozchwytywane przez warszawiaków.

Duchy

W kółku samokształceniowym dyskutowaliśmy wszystkie problemy interesujące młodzież. O Bogu, o życiu pozagrobowym, o cudach, o duchach itd. Ja i Leon Jakubowski postanowiliśmy iść w nocy na cmentarz, żeby przekonać się, czy są duchy. Noc było księżycowa. Punktualnie o godzinie 24.00, kiedy zegar na kościele ewangelickim wydzwonił cztery kwadranse, a potem 12 godzin, staliśmy obok wieży strażackiej o kilka metrów od muru okalającego cmentarz. Ja poszedłem pierwszy. Po przejściu przez mur szedłem główną aleją, wiodącą od bramy w głąb cmentarza. Bacznie oglądałem się na boki. Raptem z prawej strony zamajaczyła mi postać kobieca. Stanąłem jak wryty. Jednocześnie wewnątrz mnie jakby odezwał się głos: a widzisz, boisz się. Wtedy uświadomiłem sobie, że stoję nieco pochylony ku przodowi, ręce trzymam do tyłu i mam zaciśnięte pięści. Przemogłem się. Wyciągnąłem prawą rękę do przodu i powoli zacząłem zbliżać się do widziadła. Dotknąłem zimnego glazu, który wyobrażał figurę Matki Boskiej. Uczulem falę odprężenia w całym organizmie. Idąc dalej, z lewej strony muru nad grobem zauważyłem z profilu głowę ludzką, kiwającą się podobnie jak to czynią Żydy modląc się. Już bez silnego napięcia nerwowego zbliżyłem się i po przejściu chmury, w świetle księżyca stwierdziłem, że to kwiat w doniczce poruszany przez wiatr. Zgodnie z planem skierowałem się w prawo, gdzie było miejsce niepoświęcone — dla samobójców. Przed tym miejscem kończyła się zwirowana droga. Rosły tu trzy duże drzewa, a pod nimi stała ławka. Gdy zbliżyłem się do ławki, raptem usłyszałem nad głową piekielny szum, aż przysiadłem do ziemi. Przyczyną szumu było stado wron, którym przerwałem nocny sen. Posiedziawszy chwilę, przywiązałem chustkę do tylnej prawej nogi ławki i powoli wróciłem tą samą drogą. Gdy wskoczyłem opierając się rękami na mury, posypał się tynk. Odniosłem wrażenie, jakby cały tuman gonił za mną. Przerzuciłem nogę na drugą stronę muru i usłyszałem głos Leona. Teraz ja zostałem pod murem, a Leon poszedł i przyniósł moją chusteczkę. Gdy opowiedziałem mu o swoich złudzeniach, roześmiał się i powiedział: „Ja nie miałem żadnych wrażeń, bo w rękę trzymałem rewolwer gotowy do strzału”.

Opracowała:
TERESA POŁECKA
Fot. RYSZARD PIECHOŃSKI





Astrologia paraliżuje się w każdej epoce najwybitniejsze umysły. Na liście twórców nauki i sztuki bardzo mało można znaleźć nazwisk ludzi nie obeznanych z astrologią. I choćby ze względu na tych ludzi, budujących współczesny gmach nauki, nie powinniśmy wydawać zbyt pochopnych sądów o astrologii.

Toczy się spór, czy nie powinno się w sposób naukowy wykazać zasadności astrologii. Niektórym wydaje się, że nadanie temu przedmiotowi znamion nauki podniesie zasięg i rangę społeczną astrologii. A przecież nie zawsze coś, czego nie udaje się ściśle ująć w ramy nauki, jest bez wartości. Muzyka np. należy do sfery kultury i nikt nie zamierza naukowo uzasadniać wartości dzieł Chopina czy Mozarta. Wystarczy, że nam się podoba. Przez to nabiera znamion użyteczności. Podobnie jest z astrologią — nie posiadającą statusu naukowego. Może wynika to z niedoskonałości metodologii i metod, jakimi dysponuje współczesna nauka, nie potrafiąca nimi ogarnąć zjawisk bliskich astrologii.

Dzisiaj największą popularnością cieszy się astrologia w USA. Tam też najwięcej osób zajmuje się astrologią na użytek domowy. W naszym kraju przyjęło się, że o astrologii kompetentnie mogą mówić tylko astronomowie. Otóż nie błędniejszego. Współczesna astrologia ma bardzo mało wspólnego z astronomią. Kiedyś należało znać astronomię, ponieważ każdy sam musiał mozolnie obliczyć położenie planet. Dzisiaj mamy precyzyjne tablice służące temu celowi. Na dobrą sprawę współczesna astrologia jest przede wszystkim dziełem psychiatrii, medycyny i psychologii. Czyż zatem jest astrologia? Nauką, systemem wiedzy czy wreszcie sposobem życia, filozofią, sztuką, religią? Chyba wszystkim po trochu. Ale nie nie stoi na przeszkodzie, żeby traktować ją bardziej filozoficznie niż naukowo.

NAUKA CZY SZTUKA

Astrologię zawsze można rozpatrywać w kilku poziomach. Jako wróżbiarstwo — odnosi się to do horoskopów gazetowych, bazujących na pozycji Słońca. Traktują one jednakowo olbrzymią grupę ludzi urodzonych w ciągu tego samego miesiąca. Jest to ogromne uproszczenie, którego poważniejszy astrolog unika. Jeśli się coś tam zgadza, to wszyscy mamy uciechę, i tylko jako formę zabawy historyjki owe należy traktować. Astrologię da się też rozpatrywać w systemie psychologiczno-medycznym oraz symboliczno-rytualnym, duchowym.

Poważniejszych astrologów interesuje poziom drugi: psychologiczno-medyczny. I wówczas można mówić o astrologii jako psychologii matematycznej, opartej o astronomię. Inni powiadają, że astrologia stanowi już dziś system wiedzy informujący nas o współdziałaniu Ziemi ze swym kosmicznym środowiskiem. Ale nie bez podstaw stawiane jest pytanie, czy astrologia bardziej jest nauką, czy raczej sztuką? Pytanie również trudne, jak w przypadku medycyny, o którą także możemy się spierać, czy jest nauką, czy sztuką. Na jednym roku studia medyczne może skończyć trzysta osób. Teoretycznie posiadają tę samą wiedzę. A przecież spod jednej ręki pacjent wychodzi zdrowy, a pod drugą marnie kończy. Podstawą wszelkiej sztuki jest na pewno wiedza. Ale dopiero intuicja i sztuka interpretacji zdecydowały o klasie czy fachowości medyka. Podobnie jest z astrologią. Potrzebna tu ogromna wiedza, w dodatku z wielu dziedzin, i talent. Często przemęczony lekarz stawia złą diagnozę, przepisuje niewłaściwe leki. Używając wahałki, popularnego wśród astrologów, mógłby błędnie oszacować, czy przepisane tabletki pomogą, czy nie. W tym przypadku, oczywiście, nie talent zdecydowałby o sukcesie, ale otwartość na innowację.

PREZES Z HOROSKOPU

Kto najbardziej potrzebuje astro-

logii? Chyba dzieci. Wprawdzie już 3-4-letnie dziecko może wykazywać specjalne uzdolnienia, ale bez astrologii nikt nie może bezbłędnie ocenić, czy ma sens gonienie biednego malucha do fortepianu lub palety. Również horoskopy porównawcze mają ogromny sens. Fascynujące jest porównanie dwójga ludzi pod kątem ich wspólnego losu. Tą drogą możemy dowiedzieć się, kto i za co w tym związku jest odpowiedzialny, do jakiego finału dojdzie znajomość, w jakim jej okresie jedna ze stron będzie przeważała w określonej dziedzinie życia. Astrologia na te i podobne pytania daje dokładne odpowiedzi. Jak na dłoni otrzymujemy dynamiczny obraz stosunków między tymi ludźmi.

W wielu innych sytuacjach możemy również korzystać z wiedzy astrologicznej. Wyobraźmy sobie, że w jakimś przedsiębiorstwie zachodzi potrzeba wybrania wiceprezesa.

Na jedno stanowisko może kandydować kilka osób. Jeżeli prezes nie ma wahałki lub nie posłucha rady astrologa, to marnie jego widoki. Astrolog mógłby tu oddać wprost nieocenioną usługę. Mając tylko same daty urodzenia, można szybko dowiedzieć się, czy z daną osobą prezes będzie mógł współpracować, czy nie. Albo weźmy np. horoskopy różnych politycznych głów. Ludźmi o dużych zdolnościach przebijania się do celu są Koziorożce będący pod wpływem Saturna. Jeszcze parę miesięcy temu w najwyższych władzach licznych państw, na eksponowanych stanowiskach, mieliśmy mnóstwo Koziorożców. Także u nas. Gierek, Babiuch to również Koziorożce; można wymienić innych ważnych dygnitarzy spod tego znaku.

WYGODNE BYKI

A jacy to piłkarze brali udział w Argentynie na mistrzostwach świata? W tej dziedzinie sportu potrzebny jest upór, waleczność, siła przebiecia. Kto więc pojechał? Byki nie, bo za wygodne i wolą siedzieć w domu przed telewizorem. Lew, owszem, zasiadł w pierwszym rzędzie, ale na trybunie. Strzelec też nie, bo on w swojej karierze uprawia kilkanaście dyscyplin i do niczego poważniejszego nie dochodzi. Na boisko wbiegły przede wszyst-

kim Skorpiony, Barany, Koziorożce. Gmoch to również Koziorożec. Czy można więc mówić o przypadku?

Gdybyśmy mieli zatrzymać się tylko na podziale ludzi według dwunastu typów horoskopu słonecznego (tego ze znakami Zodiaku), to już ta klasyfikacja jest doskonała niż jakkolwiek inna znana psychologom, a mimo to nie wystarcza ona żadnemu astrologowi.

Czym więc jest horoskop (inaczej: kosmogram)? Jest energetycznym zapisem ciągów sił oddziałujących na jednostkę w określonym czasie i miejscu. Pokazuje nam, jaką pozycję na tle pól energetycznych miał człowiek w momencie urodzenia, a więc w danym wycinku czasowym i określonym miejscu. Liczy się ówczesny układ planet. Mówimy wtedy o dziedziczności planetarnej. Ale jest to obraz statyczny, który przestaje mieć astrologiczne znaczenie przy porodach wywołanych sztucznie. Wielu więc naukowców protestuje przeciwko takiemu zakłócaniu praw przyrody, gdyż następuje radykalna ingerencja we wszelkie naturalne rytmy. Cesarskie cięcie traktowane jest jako poród naturalny.

MA UKŁADY NIE MA RADY

Natomiast już współczesna astrologia operuje pojęciem tranzytów, a więc uwzględnia bieżące przebiegi planet pozostających w określonych odległościach katowych do pozycji planet w momencie urodzenia. Pozwala to na dynamiczne traktowanie cykli planetarnych. Więcej, można na parę lat wyprzedzić i policzyc człowieka, w jakich układach energetycznych będzie się znajdował, w jakiej dziedzinie dzięki temu będzie mu się działo lepiej, a w jakiej gorzej, kiedy będzie sprawniejszy i kiedy mu coś nie wyjdzie. Horoskop jednak nie determinuje życia człowieka, pokazuje tylko predyspozycje, możliwości i pułapy, jakie człowiek posiada lub osiągnie. Astrologia więc pokazuje kierunek i intensywność życia, ale nie jego jakość. W wielkim uproszczeniu można sobie wyobrazić, że rzeźnik i chirurg grzebiący w mózgu mają podobne horoskopy.

Już po tych wiadomościach wstępnych można powiedzieć, że podstawą

astrologii jest dokładne obliczenie pozycji planet w danej chwili, w określonym miejscu Ziemi. Dopiero po dokonaniu tej czynności można przystąpić do interpretacji według ustalonych reguł, uruchamiając całą swą wiedzę i intuicję. Najbardziej rozwiniętą dziedziną astrologii jest kosmobiologia, uzasadniająca wpływ promieniowania Słońca i planet. Zachowanie człowieka odbija promieniowanie dochodzące do nas z kosmosu. Krytykujący astrologię powiadają, że gwiazdy są za daleko, żeby mogły mieć jakiś wpływ na człowieka. Ale tu nie o gwiazdkę chodzi, bo jest ich zbyt dużo, aby ktokolwiek mógł ustalić zasady gwiazdowego oddziaływania, jeśli nawet takie jest. Astrologowie uwzględniają więc jedynie oddziaływanie najbliższych planet, a ściślej — planet Układu Słonecznego. A te Barany, Byki, Wodniki itd. nie są żadnymi gwiazdozbiorami, tylko strefami napromieniowania Ziemi (tzw. aura okołozemska), która podzielona jest na 12 równych, trzydziestostopniowych odcinków. Nawet gwiazdozbiory przy dokładniejszych pomiarach nie mieszczą się w tych pasach. Skąd więc wzięła się ta dziwna konfuzja między znakami Zodiaku w sensie gwiazdozbioru i Zodiaku, używanego w astrologii? Otóż to Grecy spłatali nam tego figla. Niegdyś na przedłużeniu promieniowania owych pasów znajdowały się określone gwiazdozbiory. Przyjęli więc dla uproszczenia te same nazwy. A przez parę tysięcy lat na naszym niebie wszystko mocno się przesunęło i tylko nazewnictwo pozostało to samo. Tym należy wytłumaczyć inne znaki w Zodiaku, używanych przez Hindusów.

CZYTAŃIE PRZEZNACZENIA

Tak więc planety swoimi cyklicznymi obiegami oddziałują na człowieka. Cała przyroda funkcjonuje cyklicznie. I z tego wypływa niezmiennie istotny wniosek dla astrologii o współgraniu rytmów biologicznych (biorytmów) z cyklami planetarnymi. Dopiero porównanie biorytmów z rytmami kosmicznymi daje możliwości prawdopodobnego wnioskowania. Dopiero znajomość jednych i drugich pozwala wnioskować o ludzkim losie. Rytm kosmiczny należy traktować jako informację wychodzącą z centrum naszej Galaktyki (a może płyną one z jeszcze dalszych miejsc wszechświata?). Informacje te, zakodowane w falach grawitacyjnych, dochodzą do Układu Słonecznego. Żeby nie było jednak wątpliwości dodajmy, że nie nie wskazuje na to, że ktoś kieruje je do nas celowo. Jesteśmy na drodze tego przekazu jako „dzieci wszechświata”. Podlegając prawom przyrody na ten przekaz po prostu reagujemy. Niektórzy naukowcy usiłują tezę tę obalić. Trudno jednak sobie wyobrazić, że promieniowanie kosmiczne jest obojętne istotom żywym.

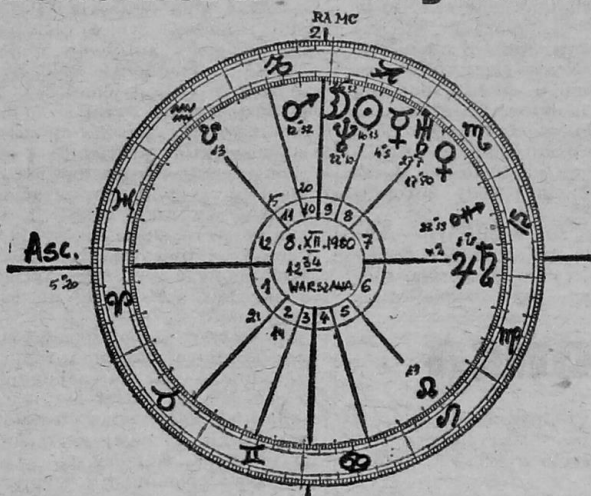
Docierające informacje w postaci owych fal grawitacyjnych, kiedy już znajdują się w Układzie Słonecznym, ulegają wzmocnieniu. Słońce wraz ze wszystkimi planetami działa jak olbrzymi rezonator — antena wzmacniająca przekaz, który kierowany jest w określonej postaci na Ziemię w zależności od pozycji Słońca oraz jego planet. Planety nakładają się w odpowiednich odległościach katowych, umożliwiają albo blokują przekaz.

Te same właściwości oddziaływania planetarnego zostały odkryte w różnych częściach Ziemi, i to już wiele tysięcy lat temu. Od setek lat mówi się o póżnych latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych naszego stulecia jako o czymś bardzo szczególnym z punktu widzenia oddziaływań planetarnych na Ziemię. W tym czasie może dziać się wiele dziwnych rzeczy. Nie jest to bezpodstawne. W tym czasie będzie formowała się wielka koniunkcja (wiele planet znajdzie się bardzo blisko siebie). To może spowodować ogromne zakłócenia pola magnetycznego Ziemi, przemagnesowanie, zmiany klimatów i inne dziwne historie mające wpływ na nasze życie.

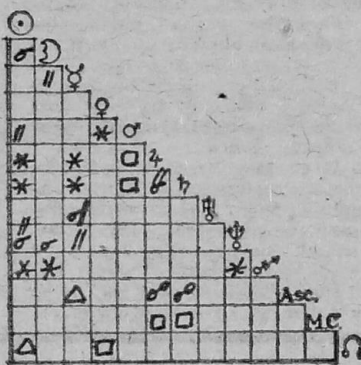
Obecnie kończy się epoka Ryby (epoka chrześcijaństwa). Dominowało w niej poznawanie świata, rozwój praw zewnętrznych. Niebawem rozpocznie się epoka Wodnika, która ma trwać około dwóch tysięcy lat. Do głosu dojdą wewnętrzne prawa człowieka, dążącego do samodoskonalenia, a wartości materialne zaczną tracić swe znaczenie. (Notował L.G.)



horoskop „Kontaktów” i Czytelników



	DECLINATIONS	LATITUDE
☉	22 S	—
☽	19 S	3 N
☿	20 S	0 N
♀	15 S	1 N
♂	23 S	1 S
♂	1 S	1 N
♂	1 S	2 N
♂	19 S	0 N
♂	21 S	1 N
♂	6 N	16 N



Na prośbę redakcji znany astrolog, dr Andrzej Wesołowski, sporządził oryginalny horoskop dla „Kontaktów” i ich Czytelników, w którym łatwiej zorientować się po przeczytaniu wypowiedzi drugiego nawcy przedmiotu, dr Leszka Wesoła, wiceprezesa międzynarodowego stowarzyszenia astrologów. Horoskop sporządzono na podstawie układu planet w dniu 8 grudnia 1980 roku o godzinie 12.34, tzn. w momencie nawiązania pierwszego kontaktu z dr. A. Wesołowskim. Wprawdzie w horoskopie mówi się o losach samej Redakcji, to jednak pośrednio dotyczy on także wszystkich, począwszy od robotnika, poprzez brygadzystów, kierowników, dyrektorów, prezesów, a na ministrach skończywszy, bo na układy planet nie ma rady. Zawsze przychodzi taka pora, że nawet najjaśniejsze gwiazdy bledną.

Dokładnie studiowany kosmogram odkryje niejedną zagadkę Waszej przyszłości. Dla ułatwienia podajemy, iż kończy się epoka Ryby, a zaczyna się czas Wodnika, który potrwa dwa tysiące lat i w którym — jak zapewnia nasz astrolog — do „głosu dojdą wewnętrzne prawa człowieka, dążącego do samodoskonalenia, a wartości materialne zaczną tracić swe znaczenie”.

Jeśli któryś z Czytelników nie szuka się w przedstawionym kosmogramie pożądaných wskazówek — polecamy bezpośredni kontakt z astrologiem, bo jednak najbardziej prawdopodobne są horoskopy indywidualne, sporządzane w oparciu o miejsce, datę, ba, nawet godzinę urodzenia.

Mimo że horoskop redakcyjno-czytelniczy nie ma nic z propagandy sukcesu, a sporo w nim z samozwidy, to jednak nie pójdziemy śladem żony Wielkiego Prezesa i nie czmychniemy przed przeznaczeniem, lecz będziemy trwać w swym posterunku, wierząc, że nam nadzieja z gwiazdek nie zasnęła. Czego i Wam życzymy.

Horoskop wschodni, 5° Barana, o którym tradycja hinduska mówi, wyobraża on człowieka na koniu, obserwującego pracę ludzi w polnie. Punkt wschodzący nazywany Ascendentem — reprezentuje zawsze osobę pytającą czy sprawę, którą pytało. W tym przypadku pisuje on zainteresowania społeczno-polityczne i socjologiczne Redakcji. Wschodzący znak Barana powiada na ten rok poważne zmiany i dużą poprawę sytuacji. Redakcja zacznie odgrywać coraz większą rolę w życiu społeczno-politycznym kraju.

Mars, który rządzi znakiem Barana, jest w zenicie znaku Koziorożca. Jest to bardzo silne położenie Marsa. Oznacza niezwykle czynne działanie Redakcji w

tym roku, zmiany dotychczasowego stanu rzeczy i pomyślny walki z trudnościami. Znakiem Koziorożca rządzi Saturn, który tutaj znalazł się na zachodzie horoskopu i kwadraturze Marsa. Ponieważ kwadratura jest separacyjna, trzeba będzie kontynuować dotychczasową walkę — aż do pełnego sukcesu.

Sprzysia temu Wenus, zapowiadając zdobycie potrzebnych funduszy. Trudna walka na terenie urzędowym w końcu się uda. Trzeba będzie zmienić lokalizację Redakcji, gdyż Księżyc kończy swój bieg w znaku Strzelca, zbliżając się do zenitu.

Mercury w sekstyli Jowisza i Saturna zapowiada pomyślny koniec wszelkim sprawom urzędowym i trudnościom prawnym. Następnie korzystna dla losów pisma zmiana kursu Redakcji na bardziej radykalny. Nastąpi też zmiana na stanowisku redaktora naczelnego. Patrząc na oprawę bardziej szczegółowo widzimy w lutym koniunkcję Jowisza i Saturna z Wenus, Merkurem i Uranem. W tym czasie znacznie się najpomyślniejszy okres roku 1981, początkiem będzie powodzenie finansowe i publiczne. Konstelacja ta bardzo faworyzuje pociągnięcia w dziedzinie naukowej i w sprawach prawnych, od których nie jest wolna Redakcja.

W okresie lutego i marca pomyślny okres dla nawiązywania współpracy. Doskonali czas na rozwikłanie zeszarych tajemnic i wyjaśnianie problemów natury naukowej. W marcu, dzięki sekstylowi Merkurego z Jowiszem, przeważa powodzenie. Duży sukces może być odniesiony dzięki ciekawemu materiałowi z podróży zagranicznej czy artykułowi poświęconemu tematyce zagranicznej. W tegorocznych artykułach będzie dominowała bojowość, charakterystyczna dla Marsa, widoczna wyraźnie w kwietniu. W tym też miesiącu nadarzy się sposobność do zmiany lokalu i reformy dotychczasowego układu Redakcji. Kwiecień i maj będą pod znakiem przenoszenia się i zmian wewnętrznych. Okres czerwca, lipca i sierpnia będzie trudny dla Redakcji, gdyż walka o osiągnięcie konkretnych celów społecznych może się przedłużyć. Niemniej jednak we wrześniu widać już wyraźne sukcesy, one ponownie podniosą bojowość pisma, które ostatecznie wkroczy na nową drogę, a do końca roku osiągnie duży sukces i popularność.

Któryś z dziennikarzy będzie miał kłopoty polityczne. Sytuacja redakcyjna zaciąży i na nim. Pierwszy odejście szef. We wrześniu i październiku przewiduje się największe zmiany, ale cały proces wymiany zespołu rozpocznie się już wiosną. Później przyjdzie pełniejsza swoboda działania.

Tym, którzy wolą horoskopy tradycyjne proponujemy ponoć najbardziej niezawodny z nich — charakterologiczny.

BARAN (21 marca—20 kwietnia)

Osoby ze słońcem w znaku barana wykazują inicjatywę, samodzielność, aktywność. Lubią zmiany i postęp. Są prostolinijni. Chętnie dominują nad otoczeniem, bywają agresywni, wybuchowi, niecierpliwi, samowolni. Łatwo mogą stać się fanatykami.

Przykłady: Zola, Thiers, Bismarck, Landru.

BYK (21 kwietnia—20 maja)

Osoby ze słońcem w znaku byka charakteryzuje ogromna wytrzymałość, pracowitość i systematyczność przy równoczesnej skłonności do nagłych, nieprzemyślanych decyzji. Są miłe, spokojne i stałe w uczuciach. Ich niezdeterminowanie powoduje czasem, iż dążąc do konkretnych celów wahają się w ostatniej chwili, zastanawiając się z wrodzonym sobie sceptycyzmem nad wyborem właściwych metod postępowania. Lubią używać życia, co może powodować wygodnictwo, próżność, upór, inspirowany niechęcią do kłopotliwych zmian.

Przykłady: Robespierre, Kant, Balzak.

BLIŹNIĘTA (22 maja—20 czerwca)

Osoby ze słońcem w znaku bliźniąt odznaczają się żywym umysłem i wrażliwością uczuć. Mają wiele zainteresowań. Odnoszą sukcesy w dziedzinie muzyki, literatury czy dy-

Kochają sztukę. Umieją cieszyć się życiem i postępować z ludźmi z właściwą im delikatnością i poczuciem sprawiedliwości. Lotność umysłu i spostrzegawczość ułatwia im stworzenie własnego światopoglądu. Ich usposobienie bywa zmienne, łatwo ulegają nastrojom, brak im wytrwałości, nie potrafią podjąć stanowczej decyzji. Mają skłonność do intryg. Przykłady: Verdi, Gandhi.

SKORPION (23 października—21 listopada)

Osoby ze słońcem w znaku skorpiona są kraciowe w myślach i uczuciach. Często kierują nimi wielkie pasje. Są silne, skoncentrowane, dociekliwe. Lubią dyskutować używając autorytatywnych, rozstrzygających sformułowań. Ich pozorna szorstkość nie jest prowokacją i nie dotyczy konkretnej osoby, lecz wynika z nieustannej dążności do działania. Skrajne w przeżyciach potrafią być wyrozumiałe dla innych. Łatwo odradzają się po klęskach. Bywają jednak zazdrosne, okrutne, podstępne, chytne, skryte, złośliwe, brutalne, a wszystkie te cechy ich osobowości występują z równą siłą i kraciowością jak dobre.

Przykłady: Foch, Rodin, Erazm z Rotterdamu.

STRZELEC (22 listopada—20 grudnia)

Osoby ze słońcem w znaku strzelca są aktywne w działaniu i niezależne. Mają silnie rozwinięty instynkt walki i współzawodnictwa. Cechuje je lojalność, prostolinijność, solidność, pogoda ducha. Mają uzdolnienia poetyckie i muzyczne.

jacy jesteście

plomacji. Lubią dyskutować, robią to z talentem krasomówczym i dowcipem. Zależy im na opinii otoczenia. Zaczynają wiele rzeczy naraz, co często prowadzi do dyletantstwa i powierzchowności. Bywają zmienni w decyzjach i drażliwi, a wrodzony samokrytycyzm staje się przyczyną słabości i rozbitcia wewnętrznego.

RAK (21 czerwca—21 lipca)

Osoby ze słońcem w znaku raka interesują się przeszłością i tradycją, stąd skłonność do studiów historycznych. Cechy te połączone z dobrą pamięcią, otwartością umysłu, umiejętnością obserwacji i ciekawością nowin, umożliwiają im sukcesy w dyplomacji. Chęć postępowania według określonych zasad w codziennym życiu daje gospodarność i rozwagę w wydatkach. Są opiekuńcze, łatwo przywiązują się. Bywają nieświe, przekorne i zbyt szybko ulegają wpływowi otoczenia. Ich nadmierna wrażliwość powoduje częste zmiany nastroju, humory i stresy.

Przykłady: J. Chamberlain, Mazarini.

LEW (23 lipca—22 sierpnia)

Osoby ze słońcem w znaku lwa lubią górować nad innymi i być ośrodkiem zainteresowania. Rozwinięta samoświadomość i siła wewnętrzna dają im niezależność, ambicję, a równocześnie wielkoduszność, wyrozumiałość i życzliwość wobec innych.

Przykłady: Mussolini, Petrarca, B.G. Shaw.

PANNA (23 sierpnia—22 września)

Osoby ze słońcem w znaku panny mają szczególną zdolność do krytycznej analizy zarówno w dziedzinie intelektu jak w praktycznym życiu. Rozumują szybko, jasno, logicznie, metodycznie. Mają dar przekonywania. Są sumienne, taktowne, dyskretnie. Lubią być zauważane i doceniane w swojej pracy. Są dobrymi pedagogami. W niektórych przypadkach krytycyzm może się przerodzić w krytykanctwo i apodyktyczność, bystrość i wielostronność w przebiegłość, plotkarstwo, cwaniactwo, a sumiennność w pedanterię.

Przykłady: królowa Elżbieta angielska, Goethe, Ludwik XIV.

WAGA (23 września—22 października)

Osoby ze słońcem w znaku wagi cechuje ujmujący sposób bycia, który zjednuje im powszechną sympatię. Są zgodne i uczynne, spokojne.

Bywają nadgorliwe, zbuntowane, pełne niepokoju, rozproszone, nieodpowiedzialne.

Przykłady: Beethoven, Berlioz, R. M. Rilke.

KOZIOROŻEC (21 grudnia—19 stycznia)

Osoby ze słońcem w koziorożcu dążą do postawionych sobie idei z powagą i wewnętrzną koncentracją. Ludzie ci realizują swoje cele z taką gorliwością i przesadą, że nie starcza im siły na życie prywatne. W rzeczywistości są wrażliwi i serdeczni, lecz rzadko mówią o swoich uczuciach, a walka o sukcesy stwarza wokół nich atmosferę chłodu. Świat pojmują poważnie i starają się wnikać w istotę rzeczy. Są cierpliwi, surowi, taktowni i dyplomatyczni. Cechuje ich wytrwałość, niezależność, skupiona energia, praktyczność. Bywają zawistni, uparci, przesadni, apodyktyczni, skłonni do pesymizmu, niekiedy bezwzględni i egoistyczni. Nie umieją pogodzić życia osobistego z ambicjami osobistymi, co często staje się przyczyną rozvodu.

Przykłady: Joanna d'Arc, Pasteur, Kepler.

WODNIK (20 stycznia—18 lutego)

Osoby ze słońcem w znaku wodnika wyróżniają się inteligencją i wybujałą wyobraźnią. Łatwo przyswajają nowości, szczególnie dotyczące problemów moralnych. Często kierują się intuicją. Czasem oryginalność ich koncepcji bywa przyczyną samotności, lecz ludzie ci szukają uczucia i zrozumienia. Cechuje ich skłonność do kontemplacji, idealizm, wrażliwość na piękno. Są na ogół zgodni, a nawet pełni poświęcenia. Ich nerwowość powoduje jednak chaotyczność, zmienność w nastrojach, niesolidność. Robią dużo zamieszania nie tylko w swoim życiu, lecz także w otoczeniu gdzie się znajdują.

Przykłady: Mozart, Byron, Svedenborg.

RYBY (19 lutego—20 marca)

Osoby ze słońcem w znaku ryb lubią marzyć, są pełne entuzjazmu i skłonne do wyrzeczeń dla ideałów. Cechuje je wrażliwość, łagodność, wyrozumiałość, współczucie dla wszystkich co żyje, gościnność. Rozumieją świat. Bywają leniwe, małoduszne, niezdeterminowane, łatwo wierne, sentymentalne, przewrażliwione, zagubione w sobie.

Przykłady: Kopernik, Chopin, Einstein.

13

KONTAKTY
28 XII 1980
— 4 I 1981



ZANIM SIĘ SKOŃCZY
XX WIEK

Zaglądamy do kieszonkowego kalendarza i stwierdzamy, że do Wigilii pozostało już tylko kilka dni, a my jeszcze nie mamy choinki i jeszcze nie postaraliśmy się o opłatek. Oczywiście, nigdy nie zadawaliśmy sobie pytania, jak ustalilibyśmy termin tego najbliższego spośród wszystkich świąt, gdybyśmy nie mieli kalendarzyka — kieszonkowego, ściennego, w ogóle żadnego. I nie tylko my, ale wszyscy, tak że nikogo o ten termin nie można było spytać.

A przecież tak niedawno (przed kilkunastoma wiekami) w środkowej Europie kalendarzy w ogóle nie było. Oczywiście, naszym przodkom w tamtych czasach nie były tak potrzebne jak nam dzisiaj. Żyło się wtedy powoli, w rytmie pór roku, dzień czy dwa nie miały znaczenia. Ci, którzy sobie chcieli jakoś porządkować ten bezładny upływ dni mieli na niebie naturalny kalendarz — księżyc. Jego kwadry odmierzali siedmiodniowe odcinki czasu, a ich pełny cykl składał się na miesiąc. Jeśli się więc zapomniało ile dni upłynęło od ostatniej pełni — wystarczyło spojrzeć na pogodne niebo nocą.

Niestety, księżyc sobie, a słońce sobie odmierzają czas, więc księżycowy kalendarz zawodzi, gdy trzeba ustalić datę związaną z cyklem rocznym. Cyklem ważnym, bo przecież w klimacie umiarkowanym pory roku regulują życie ludzkie — a raczej regulowały, dopóki człowiek nie

wyizolował się z przyrody tak bardzo, że stał się od nich prawie niezależny.

Wyznaczenie daty, np. tej, od której dzień ubywający staje się dniem przybierającym, było zadaniem bardzo trudnym. A ważnym — bo przecież w zamierzonych czasach ludy europejskie świętowały dzień narodzin nowego słońca. Kapłani budowali więc kalendarze z kamienia: kręgi, których obwód wyznaczały pionowo sterzące głazy. Kapłan stojący w środku kręgu wiedział, między którą parą pionowych głazów ukazuje się wschodzące słońce w najdłuższym i najkrótszym dniu roku, w dniach równonocy wiosennej i jesiennej.

Pozostałości takich kamiennych kręgów-kalendarzy zachowały się i na polskich ziemiach, głównie na Pomorzu, ale były to kręgi bardzo skromne. Na atlantyckich wybrzeżach Francji i w W. Brytanii spotyka się budowle imponujące rozmiarami, jak np. słynne Stonehenge. Dziś zastępuje je kieszonkowy kalendarzyk.

Staraliśmy się o opłatek, którym dzieliliśmy się z bliskimi przed wigilijną wieczerzą, nawiązujemy przy tym do... Esenezytów. Do sekt żydowskich, których członkowie chronili się, wedle wyrażenia biblijnego, „na puszczy” — to znaczy na skalistej pustyni w pobliżu Morza Martwego przed prześladowaniami i przed życiem wśród grzeszników. Tworzyli komuny uprawiające

wspólnie skrawki ziemi w skalnych rozpadlinach i kotlinach. Wspólnie też jadal, rozkładając między sobą chleb.

Kupujemy choinkę. Zwyczaj to w Polsce nowy, bo dopiero przed półtora wiekiem importowany z zachodniej Europy. Dawniej jej rolę spełniała zawieszona u sufitu ozdobiona orzechami i jabłkami gałąź zwana podłazcem. Ale tak choinka jak podłaziec są pozostałościami po niezmiennie starym kulcie drzew, uprawianym przez stare ludy europejskie.

Zostawiamy na wigilijnym stole jedno nakrycie wolne. Nie wierzymy tłumaczeniom, że to dla gościa, który może zjawić się niespodzianie.

narodziny słońca

Wprawdzie nie pamiętamy już o tym — ale wolne nakrycie przeznaczone bywało dla zmarłych przodków.

Kładziemy pod obrus siano, resztki wigilijnej wieczerzy niesiemy do obory dla bydła — i też nie pamiętamy, że są to obrzędy magii płodności. Nasi przodkowie byli przekonani, że te zabiegi magiczne zapewnią domowi dobrobyt na cały rok, który się właśnie zaczyna od narodzin nowego słońca.

Prastare to obrzędy, praktyki, zwyczaje. Prastare i tak mocno zakorzenione, że musiał je zaakceptować nawet nietolerancyjny wobec pogańskich kultur chrześcijaństwo. I tak w okolicach daty narodzin nowego słońca nałożyły się na siebie różne dawniejsze i nowsze święta.

Piszę tu o nocy wigilijnej, bo jest ona aż gęsta od tych pradawności. Ale przecież w całym naszym życiu wiele występuje zwyczajów, gestów, zachowań wynikających tylko z tradycji i niczego więcej. Kulturowe, ponieważ kulturowali je nasi ojcowie i dziadkowie, ale przecież nie znamy ich dawniejszej treści, nie dostrzegamy sensu i nie próbujemy nawet szukać ich odniesień do świata, w którym żyjemy.

Podtrzymując je postępujemy irracjonalnie — temu zaprzeczyc się nie da. Ale czy rację mieli ci, którzy uznając je — słusznie zresztą — za przesady i przeżytki, usiłowali je wyeliminować z naszego życia? Czy są one rzeczywiście do niczego nie potrzebne?

Przeciwie, są potrzebne, i to bardzo. Tradycje, zarówno racjonalnie uzasadnione jak irracjonalne (te drugie bodaj nawet w większym stopniu!) stanowią manifestację tożsamości kulturowej i narodowej. Są tym, co nas łączy, co nam daje poczucie wspólnoty i wypływające zeń poczucie własnej wartości i siły. Choinka, którą mamy w oczach od kiedy zaczęliśmy coś pamiętać, opłatek, którym się dzieliśmy od kiedy odróżniliśmy od ziemi i sumy związanych z nimi uczuć, przeżyć — od dzieciństwa po schyłek życia — to stało się częścią naszej osobowości w sensie indywidualnym, rodzinnym, narodowym. Stało się wartością, bez której czuliśmy się pomniejszeni, zubożeni i jakby pozbawieni godności. Wartością bezcenną, którą zachowujemy i którą pragniemy przekazywać kolejnym pokoleniom.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

Rysunek Władysława Mściuchowskiego



Żaden polski wieczór nie jest tak tajemniczy — odświętny, tak głęboko zapamiętany, nie ma człowieka, który by nie sięgnął wtedy pamięcią do swego dzieciństwa, młodości. Wigilia — bieganie od okna do okna, wypatrywanie pierwszej gwiazdki — znaku, że można już usiąść przy świątecznym stole. Wąchanie, kosztowanie, przygotowywanie potraw, zerkanie ukradkiem na zamknięte drzwi, za którymi choinka i mnóstwo paczek, paczuszek, których zawartość budzi zaciekawienie. Kolacja trwa stanowczo za długo jak na ciepłą noc, a później jeszcze śpiewanie kołęd ciągnące się w nieskończoność. „Wśród noce ciszy...” głos się nie rozchodzą, tylko myśli biegną ku choince i wyobraźnia koncentruje się na złożonych podarkach.

Dawniej wigilia nie kojarzyła się tylko z suto nakrytym stołem, choinką i podarkami. Oznaczała wielką tajemnicę, pełną dziwnych znaczeń. Wstawano bardzo wcześnie, zanim odezwaly się pierwsze koguty, aby zdążyć wszystko w porę przygotować. Zresztą nie tylko dlatego. Wiercono, że jak potoczy się życie w dzień wigilijny, taki będzie cały nadchodzący rok. Unikano kłótni, pożyczania czegokolwiek, z domu wynoszono śmiecie, wystrzegano się wszystkiego, co niesie z sobą złe następstwa. Panowało powszechne przekonanie, że od tego dnia życie ludzkie nabiera nowej wartości. Melchior Wańkowicz wspominając te tradycje pisał: „Gdzieś na Mlecznej Drodze szafarz niebieski odwraca klepsydry naszych żywotów.”

Józef Szczepka w „Kalendarzu Polskim” odnotowuje: „A wreszcie, jak zawsze w tym cudownym dniu, zapadał niecierpliwie wyglądany

wieczór i ów kuchenno-babski rosgardiasz z dodatkami, którego nigdy nie lubili mężczyźni każdego stanu i każdej epoki, zmieniał się w arcydzieło ładu, pogody i wystawności. Stół białą świecącą i czekał na pierwszą gwiazdkę.

Gromadzi ona wszystkich członków rodziny wokół stołu. Kończy się całodzienna głodówka. Pamiętam, że u nas w domu w wigilię, nie wolno było używać mleka ani masła. Tylko suchy chleb, ziemniaki w mundurkach no i oczywiście tradycyjny śledź moczony w wodzie.

Nasi dziadkowie wieczerze zaczęli od wspólnej modlitwy, potem dzielono się opłatkiem składając sobie nawzajem życzenia. Czynność tę zaczynał zawsze najstarszy członek rodziny. W legendach dzisiaj już za-

nie wiarę w feralność nieparzystej liczby i odtąd, by jej uniknąć, sadzano kogoś ze służby przy stole wigilijnym, gdy zaszła potrzeba”.

Liczba potraw na świątecznym stole musiała być koniecznie nieparzysta. W dawnej Polsce magnaci mieli ich jedenaście, szlachta dziewięć, a chłopci siedem. Na chłopieckim stole wśród tych siedmiu potraw prawie zawsze musiała się znaleźć zupa ugotowana z nasion konopi, ryby oraz strucle. W moim rodzinnym domu na Śląsku podstawową potrawą była moka — zupa gotowana na głowach z karpia z dodatkami piernika, ciemnego piwa, rodzynek i migdałów. Była to słodka, gęsta, z trudem przechodząca przez gardło zawiesina. Nie wolno było jednak przystąpić do jedzenia na-

czestowany jabłkiem czy cukierkiem.

Tradycja choinki została wymyślona przez Niemców. Zanim dotarła ona do Polski jej dekoracyjne funkcje pełnił „sad” czy „jodełka” uwieszona u sufitu wierzchołkiem w dół. Przypomnijmy: w „Wyzwoleniu” Stanisława Wyspiańskiego Konrad po scenach z maskami widzi „izbę niewielką mieszkalną i drzewko oświetlone i ustrojone zawieszono u stropu”. Choinka musiała zawsze błyszczeć i iskrzyć się barwami od ozdób, ale zapewne nie poświęcano jej tyle uwagi co dzisiaj.

Wróżbami zajmowała się młodzież. Kto wyciągnął z siana na stole zielone źdźbełko — ożenek w karnawale, kto żółte — trzeba poczekać, kto wyschłe i poczerwiałe — będzie się kiepił w samotności do końca życia. Rzucano kłosaми o belki, chcąc dowiedzieć się jaki będzie urodzaj.

Za oknami było białe, gdzieniegdzie tylko światełka, zewsząd rozlegał się głos kołęd. Józef Czechowicz w jednym ze swoich wierszy pisze: „muzyka sypnęła i z wysoka i z dala — zachrzęścił jak perły pierwszy ruch — Lulajże Jezuniu. Później milki ciepłe melodie, zanikały głosy, zamierał wokół cały świat. Nie raz zdarzało się, że ktoś przysnął nad stołem ze zmęczenia z nadmiaru wrażeń, sytości, wyzwolenia z postu. Nie pozwolono mu jednak spać. Budzono i wszyscy udawali się na pasterkę. Dobrze było wtedy umyć się nawet paroma kropkami wody z wiadra, ale przedtem trzeba było wrzucić do niego kilka groszy, aby było szczęście i mieć gwarancję, że przyszły rok minie bez chorób.”

JAN KULKA



oddany chleb

SWAGIER: Dzień dobry, pochwalony babom.

GOSPODARZ: A, cześć, szwagier! Co słychać?

SWAGIER: Ano, Bogu dzięki, ja-kość pomału żyjemy. Przyszedł ja szwagier i szwagierka na wesele prosić, ostatnio córę wydaje.

GOSPODARZ: A to za kogo?

SWAGIER: Nooo, za dobrego gospodarza. Charakterny...

GOSPODYNI: Do choroby! A co to będzie w tem roku z temi wesełami?! Ja już nie wiem! Ty jak sobie chcesz, ale ja na to wesele bym nie jechała. Dziękuję szwagrowi... ale bym nie jechała. Od samej wiosny jeździmy tylko po weselach. A każdego wesela po tygodniu czy może i wieny! Może by tak trochę pofolgować? Calutęki tydzień wesele, potem poprawiny, potem hołoblowe... Głowa, nogi bolą... Kac, cholero, miesiąc męczy! Żeb ty poszed na wesele jak człowiek, a to gdzie! Bedzie chlał i bawił się, że dziecko by się już urodziło, a on na tym weselu cały czas! Nie opuścił! Wyjść musi ostatni.

GOSPODARZ: Ja sam wiem! O co tobie się rozchodzi... Jak zrozumiałem, nie stać ci na prezent jakiś!

GOSPODYNI: A skond ty na ten prezent weźmiesz? Chyba ostatniego cielaka z chlewa wyprowadzisz. Przecież ja już nie mam za co prezenty dawać!

GOSPODARZ: Trzeba będzie, to się pole sprzeda. Mam jeszcze co sprzedać, nie, szwagier? (śmieje się).

GOSPODYNI: Nooo, to sobie jedź, bo ja nie...

GOSPODARZ: Łooo! Też ci zmarwienie. Babów nie brak. Na weselu też, nie, szwagier?

SWAGIER: No, wiecie, szwagierko, wy się nie denerwujcie. U mnie wesele bendzie skromne, po nowocześniejszemu: tylko trzy dni. Zapraszam tylko ze dwieście piendziesiąt, góra siedemdziesiąt osób, co to jest? Co to za wesele? Prawie jak grenkowiny. Trzy świniaki, trzy cielaki, rybka smażona, pieczona, w galarecie... Ciasta nie zabraknie, napojów też!

GOSPODARZ: Słyszala, stara? I na takim weselu nie być?

Chata stryja Franka

STRYJ FRANEK: Zarznięmy może tylko dwie krowy i świniaków o jednego mniej... Ale czy tem nakarmisz przeszło trzysta ludzi! Trzeba ze trzysta talerzów wzięść, nożów i widelców, bo u nas wszystkie takie drzewianne, a tera jenteligenja, ooo! Trzeba każdemu dać i talerzyk, i noż, i widelec! To jeszcze mało trzysta sztuk... A co, niektórzy to weźmo, zębami pogryzo, a jeszcze do kieszeniów bioro... so i takie! Nooo, tera stłuczkow najmniej setke trzeba liczyć na tyle ludzi... Dwa- dziesiąć cztery razy trzy... trzy razy cztery... dwa... no, tak... dwadzieścia, jeden dalej... trzy razy dwa — sześć... i jeden, siedem... No, tak: siedem tysięcy dwadzieście... Sto mo- go zbić... Niech pindziesiont zbiliby, co?

FRANKOWA: Mało! Na tyle lu- da? To trzeba się dobrze zastano- wić nad tym... Policz sobie, ile to potrzeba! A ile skrzynek wódki?

STRYJ FRANEK: Bo ja wiem... Jakies z dzie... z piętnaście skrzynek. E, mało! Jak ma być trzysta ludzi, to trzysta litry razy trzy. Toż to bendzie dziewięćset litry! Aaaa, cholera, objedzo mnie. Nu, ale ludzie tak robio, po chrześci- łańsku przecie! Japo weselach cho- dze, to widze, że ludzie się starajo.

Chata gospodarza

GOSPODARZ: Jaaa ciesz się, ooo... u szwagra, powiedzmy, córka wychodzi za mąż, najmłodsza. Cała radość w rodzinie. Być musi- na weselu i koniec!

GOSPODYNI: Żeby to było jak u innych ludzi! O, poszed, pogadał, wypił jednego, pobawił się, a na drugi dzień myślał o robocie. A gdzie tam! Jak się rozbawi, to się

bawi cały miesionc. I rok by się bawił, żeb go nie wyrzucili w koń- cu zza stoła!

GOSPODARZ: Dobra, dobra, nie bieduj! Dawaj po kielichu lepiej. Bierz, szwagier, zagryzaj.

SWAGIER: A szwagierka to by tylko się klócić! No, nie ma tam się co klócić. Te trzy dni to chyba się znajdzie, robota się nie zawali, nic się nie stanie... Wesele jest we- sele, nooo!

GOSPODARZ: A w dodatku te- go... sobota wolna, trzy dni wolne- go, czyli nie bendzie żadnej straty. Trzeba do sprawy podchodzić z głową!

GOSPODYNI: Od kiedy to dla chłopca wolna sobota? Świni nie chco jeść we wolne dni? A bydla- ki?! Pole nie czeka? Dla chłopca nie ma dnia wolnego, wolnej soboty!

GOSPODARZ: Ty mnie nie gadaj, ja wiem i tak! Tego... po jednym, szwagier.

GOSPODYNI: Taak! Dla ciebie całe życie świonteczne! Oni bendo mieli dość swojej roboty! Na co jem ciebie pijanego ciongać?

GOSPODARZ: Nie bieduj! Ty sa- ma pijana! Ty lepiej coś nam pod- grzej. Na ciepło coś zrób do za- gryzienia tam...

GOSPODYNI: To co, jeszcze ci źle? Masz kurczaka, wendline swoj- sko, to ci jeszcze źle? Marcypanow, cholero, chcesz pod wódkie?

GOSPODARZ: Nooo, noo, tego... Co to ja... (bełkocze coraz bardziej)

SWAGIER: No to, szwagierka, wasze zdrowie! Do dna pijemy, pienknie prosimy, nisko się kłania- my... do pekaesu uciekamy. Zdro- wie!

GOSPODARZ: Łolo! Łooo! Zdrowie młodych! Żeb oni zdro- we byli!

SWAGIER: Zień dobry, tego... człowiek, znaczy się. Udał się mnie jakby... Ale twarde bendie trzymał w rence... poczekam. Jak bendzie dobry chłop, to kiedyś dostanie. A jak bendzie drań, to nie dam ani centa!

KOMENTATOR: Ciekawość, co w domu przyszłego zięcia słychać?

OJCIEC: Ty mnie lepiej posłu- chaj!

ANDRZEJ: A co, tato?

OJCIEC: Słuchaj, co ci stary po- wie. Ty idziesz tam do nich w te prymy. Idziesz, tak? Pamiętaj: ode mnie cięgnik dostajesz, zestaw ma- szyn, no, jeszcze co? Krowe możem ci dać, ze dwa świniaki na roz- chów... Tylko pamiętaj, synu — ty od początku tak tam mocno się nie rozczula! Szkole masz skończono, tak! Technikum Rolnicze. Pamię- taj! Ojciec musiał też na to pienia- dze wkładać. Żebyś to wiedział i im tam w kasę nie dał dmuchać.

ANDRZEJ: Albo to ja nie wiem?

OJCIEC: Ty jeszcze młodzik. Ty się nie śmiej z tego, co ci ojciec ga- da, tylko poważnie trzeba pomyśleć, z głową. Ja ci źle nie mówię, tylko tak, jak do syna, żebyś dobrze miał u nich. Pamiętaj: na pole jedziemy, ale razem, wspólnie wszystko robi- my. Nie tak, żeby oni tobo mocno kręcili w robocie. Bądź honorowy, ambitny, nie daj pojechać sobo i już! Pamiętaj: rano pobudka — ty nigdy nie wstawaj pierwszy. Niech pierwsza teściowa wstanie, no, po- tem teść, szwagry, żona, a na osta- tku ty! Ale bez pośpiechu! Dosta- niesz śniadanie i dopiero wtedy... idziemy robić. I to trzeba od razu! W pierwszym tygodniu przyzwyczaić, bo jak później się odciągnie i oni cie weźmo pod nogi, to... to ka- plica! Nie dasz rady się otrząchnąć. Ja ci to mówię, a ty pamiętaj!

ANDRZEJ: Co mi tu tato będzie prawić. Sam wiem, co jest.

OJCIEC (ze złością): Ty! Ty! Ty! Co ty wiesz. Ja też był w prymach, przeżył to, i się nie dałem! Trzy- mam wszystkich krótko do końca!

Pamiętaj też o podziale: co ty wziął z gospodarki i co ty do niej przyniósł. A jak powieziecie na targ jakiegoś świniaka czy krowe... coś, ty pamiętaj o pieniądzach! Ze- by ty wiedział, ile to warte i ile tobie się należy! Musisz wiedzieć, bo wspólnie będziecie pracować na to! Powiedz: teściu, może wy się słabo znacie w rachunkach, to ja wam pomogę. Przeliczyć zawsze trzeba i starego zagać! No, do ban- ku razem z nim iść i do gospody, żeby ty wiedział, ile wydał na wód- ke, co kupił. Musi ten teść wiedzieć, że ty wsio masz na oku. A nie tak, żeby ty tylko patrzył, jak lózka żo- ny pilować. To nie nie da.

ANDRZEJ: Eeee, co mi tam...

OJCIEC: Tylko nie eee! Przy- ione ty też nie nadskakuj, żeb ona wiedziała, że ty jest chłop, a nie portki. Teściowie... oni czasem mo- go koło przerzucić. Jak weźmo nad tobo górę, to już nie ma wytrzy- mania — u ojca się prędko znaj- dziesz z powrotem. Ty, brachu, tu- taj się nie śmiej, żartów nie pod- grywaj, bo ty jeszcze młodzik i głuptak jesteś. Ja ci to mówię.

KOMENTATOR: Tylko dziadek Stefan, wysiadajunc pod piecem, przygotowuje się właśnie do nie- uchronnie nadciągających wesel- nych uciech i zabaw!

DZIADEK STEFAN:

Jedzie ciotka jedzie
Z wujaszkiem na przedzie!
Jedzie ciotka jedzie
Z wujaszkiem na przedzie!
Złamała się kałamazka
Ciotka wpadła na wujaszka,
A wujaszek jedzie, jedzie,
Jedzie... i tyle!

KOMENTATOR: Ale członkowie rodu Forysiof nie samemi tylko we- selnemi rzeczamy żyjo.

STRYJ EDWARD: Paszła ty won!

STRYJNA: Idzi ty, dziadu, w ki- bieniatier!

STRYJ EDWARD: Nooo, babsko! (zwraca się do reportera) Tutaj brat, znaczy się, ma wesele i martwi się, kto jemu wódkie wypije, bo kupił musi z piętnaście skrzynek. A ja też mam zamiar kupić ze dwie skrzynki, ale nie na ślub. Bo brał ja ślub, dwa razy rozwód, i tera trzecia sprawa. A na trzecio sprawa trzeba też zawołać swoich.

REPORTER: A co się właściwie stało?

STRYJ EDWARD: Co się stało, to nasza osobista sprawa.

STRYJNA: (wrzeszczy z za oplot- ków): Ot, parszywa morda! Głupi jełot! Ot, drania kawał!

REPORTER: Na rozwód też się wódkę kupuje?

STRYJ EDWARD: Sie kupuje. Jak na ślub, to i na rozwód. Byli ludzie przy ślubie, to niech popijo i przy rozwodzie!

REPORTER: Całe przyjęcie bę- dzie?

STRYJ EDWARD: Taaak! A bo co? Geś tuszona, kawałek, szynki wieprzowej, ryba... To, co trzeba. Jakies ciasto może się zrobić da, a wódkie się kupi. Musim zakończyć to wszystko z temi kobietami, a jakże... Z piendziesiont trzeba za- prosić, choć najbliższe rodzinie, sio- stry... Jest dużo znajomych, kole- gow. Mus jech zaprosić na ten o- biad ostatni, na ostatek.

REPORTER: A to oko żona panu podbiła?

STRYJ EDWARD: Jaka żona! Ja by jej prendzej podbił! Nie, upad- łem... I tak to idzie w życiu czło- wieka: upadniesz, a nie wiesz...

KOMENTATOR: Zostawmy trochi zmarnowanego Edwarda! Bo tym- czasem szwagrowi coraz lepiej się prosić udaje.

GOSPODYNI: (po paru kielisz- kach): No to i tak... może ja i za dużo wypila, ale to i wiesz, szwa- gier, żeby calutkie lato i jesień cho- dzić po weselach? Od wesela do wesela! A potem z czego w zimie żyć?

SWAGIER: Szw... szwagie... rko! Szwagier bendzie u mnie... znaczy, tylko trzy dni! Skromniutko ben-

dzie! W sobotę rozpoczynamy tego... w poniedziałek dokonczymy i te- go... skromniutko!

GOSPODARZ: Aaa... a ja... żytnio, szwagier... lubie, ja... tylko żytnio!

GOSPODYNI: Dla ciebie może być i denatura! Tobie tylko butelkę po- kazać, to byś... aaaj!

GOSPODARZ: Szwagier, ty sie... nic nie bój się! Bendziemy! Ja ci, szwagier... tobie ja mówię... bo ty mój szwagier! Łooo!

SWAGIER: Nu, ja tak i myślał... Mam już dziesięć zamówionych wozow osobowych, znaczy — dwa autokary z pekaesu, to chyba i starczy, żeby wszystkich dowieźli. Obróco pare razy tam i nazad...

GOSPODARZ: Niewont... nie- wont... ty jeden co dla mmmnie szwagierrrr! (rozczula się, zaczyna płakać, po czym wali się na pod- łogę)

GOSPODYNI: Oooo! Już dojechał!

KOMENTATOR: A stryj Franci- szek z żoną wcionż liczo, i konca nie widać sprawie,

STRYJ FRANEK: Aha, tooo... trzysta ludzi, taaak... Liter musi bendzie kosztować dwieście pien- dziesiont, razy trzysta... zero, trzy razy pienć — piętnaście... O, bracie! To na jeden dzień!

FRANKOWA: Tylko się nie po- mył!

STRYJ FRANEK: Jeden dalej... Trzy razy dwa, plus jeden, dalej sie- dem... Nooo! I tera dopiszem dwa zera... nie, trzy zera. A tera siedym tysienicy pienset razy trzy. Nie, czte- ry. Oooo, bracie! Musi nasza seren- ka, co stoi w stodole, pójdzie! Jak nie, choroba, pójdzie! Dziewiendzie- siont dwa tysionce pienset! Pienć tysienicy za same jajka, a monka?

FRANKOWA: Drogo nas wyniesie te wesele. Oj, drogo! Chyba i koby- ła twoja z tym ogonem długim pój- dzie!

STRYJ FRANEK: A nu go tam! Niech idzie, wesele zrobić trzeba. A piwo? Oooo! Zapomniał ja o pi- wie. Trzeba z jakies cztery, pienć antalki. A to i sześć się weźnie. Ty- sionc w te czy w te... było nie było!

FRANKOWA: Organistemu da się z tysionca, ksiendzu z półtora i do- bra.

STRYJ FRANEK: Dobra, bedziem liczyć. Dziewiendziesiont dwa ty- sienicy pienset, dwadzieścia dwa ty- sionce... teraz siedym... oho! Setka dawno penkła!

FRANKOWA: Ociec, a nie lepiej dać dzieciom w rence?

STRYJ FRANEK: Nie! Wesele musi być! To jest oddany chleb! U kogo byłaś na weselu, tego trzeba zaprosić! Po chłopsku, honorowo! Taaak, to oddany chleb!

**ANDRZEJ BARTOSZ
WIESŁAW JANICKI
Fot. GABOR LÖRINCZY**



obcy czaje



Polacy i Nobel

Każdego roku, 10 grudnia, Sztokholm jest miejscem spotkania światowej elity, zarówno w potocznym, jak i szczególnym znaczeniu tego słowa. Tego dnia, w rocznicę śmierci fundatora, odbywa się wręczenie wielkich współczesnych Nagród Nobla — w obecności króla, książąt, korpusu dyplomatycznego, znakomitości naukowych, twórców kultury. Tego roku Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury odebrał Czesław Miłosz.

Pierwszym polskim laureatem tej Nagrody był Henryk Sienkiewicz (1905). Następnie kolejno ją otrzymali: Maria Skłodowska-Curie — dwukrotnie (1903 i 1911) oraz Władysław Reymont (1924).

Laureatami Nobla byli także: Albert Michelson, fizyk amerykański, urodzony w Strzelnie (1907); Tadeusz Reichstein, biochemik szwajcarski, urodzony we Włocławku (1950); Andrew Schally, endokrynolog amerykański, urodzony w Wilnie (1977); Izaak Singer, pisarz amerykański, urodzony w Radzyminie (1978).

Podczas uroczystości w Sztokholmie 10 grudnia 1905 roku nasz wspaniały pisarz, HENRYK SIENKIEWICZ, powiedział: „Ci, którzy mają prawo ubiegać się o nagrodę ustanowioną przez szlachetnego filantropa, nie należą do ludzi jednego szczepu i nie są mieszkańcami jednego kraju. Wszystkie narody świata idą w zawody o tę nagrodę, w osobach swoich poetów i pisarzy. Dlatego też wysoki areopag, który tę nagrodę przyznaje, i dostojny monarcha, który ją wręcza, wieńczą nie tylko poetę, ale zarazem i naród, którego synem jest ów poeta.

Stwierdzają oni tym samym, że ów naród wybitny bierze udział w pracy powszechnej, że praca jego jest płodna, a życie potrzebne dla dobra ludzkości.

Jednakże zaszczyt ten, cenny dla wszystkich, o ileż jeszcze cenniejszy być musi dla syna Polski!... Głoszono ją umartą, a oto jeden z tysięcznych dowodów, że ona żyje!... Głoszono ją niezdolną do myślenia i pracy, a oto dowód, że działa!... Głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężyć!...

Szwedzka Akademia przyznała WŁADYSŁAWOWI REYMONTOWI nagrodę Nobla w dniu 13 listopada 1924 r.

W liście do swego przyjaciela, Wojciecha Morawskiego, podzielił się swoimi refleksjami na temat nagrody: „Sprawiła mi nie radość, a głębokie wzruszenie. Mówiąc otwarcie, pomimo marzeń o tej nagrodzie, pomimo dobrej prasy szwedzkiej o przekładach moich książek i pomimo kandydatury postawionej urzędowo — nie miałem żadnej nadziei. (...) Na cóż ja mogłem liczyć? Chyba na jakiś szczęśliwy wypadek. I prawdopodobnie ten jakiś nieprzewidziany wypadek zwyciężył. Na pewno wiem, że w tej sprawie nasz rząd nie kiwnął palcem, prasa również mi nie pomogła. Sami Szwedzi poprowadzili. Oszołomiony jestem tą niespodzianką (...) Odszedłem wewnętrznie od świata i spraw jego. Marzyłem o ciszy i możliwości spokojnego pracowania jak o największym szczęściu. Naraz otwierają



się wielkie drzwi rozgłosu! Nieznany wczoraj i lekceważony nawet przez rodaków, dzisiaj muszę brać pozę i twarz sławnego człowieka. Czy to niewarte śmiechu? Stałem się od razu dumą swojego narodu! Rodacy gotowi jeszcze czytać moje książki! Jakże naraz stałem się interesującym, wielkim i kochanym. Do Was to jeno mówię i zamknijcie to w sercu", (14 XI 1924).

O pierwszym Noblu MARI SKŁODOWSKIEJ „Kurier Warszawski” z 11 XII 1903 r. donosił: „Nagrody Nobla rozdano wczoraj po południu w sposób następujący. Nagrodę w dziale chemii otrzymali fizyk paryski Curie z żoną swoją Curie-Skłodowską [...] tudzież Francuz Henryk Becquerel [...] Małżonkowie Curie [...] zasłynęli odkryciem pierwiastków radium i polonium oraz wyczerpującymi badaniami nad ich zagadkową własnością promieniotwórczości. Ponieważ jednak badania te poprzedzone były przez prace słynnego chemika francuskiego, Henryka Becquerela nad promieniotwórczością pierwiastków uranu, nagrodę przeto za najdonioślejsze odkrycia w zakresie chemii podzielono pomiędzy małżonków Curie a Becquerela.”

Po otrzymaniu drugiej Nagrody Nobla Maria Skłodowska-Curie wygłosiła 11 XII 1911 r. wykład w Sztokholmie. Powiedziała m.in.: „Nowa nauka ciągle się rozwija. Teraz kiedy dzieli nas zaledwie piętnaście lat od odkrycia dokonanego przez Henri Becquerela, stajemy w obliczu wielu nowych zjawisk należących do dziedziny, która mimo swojego ścisłego związku z fizyką i chemią jest tymczasem zdefiniowana ze szczególną jasnością. W dziedzinie tej znaczenie radu, jeżeli chodzi o ogólne teorie, było decydujące. Historia odkrycia i wyizolowania tej substancji udowodniła słuszność mojej hipotezy, według której radioaktywność jest właściwością atomową materii i może dostarczyć metodę poszukiwania nowych pierwiastków. Hipoteza ta doprowadziła do obecnych teorii dotyczących radioaktywności, dzięki którym jesteśmy pewni istnienia około 30 nowych pierwiastków, których nie jesteśmy



jednak w stanie wyodrębnić, ani scharakteryzować metodami chemicznymi. Poza tym przewidujemy, że elementy te ulegną zmianom atomowym. Bezpośrednim tego dowodem jest tworzenie się pierwiastka określonego jako hel z pierwiastka określonego jako rad.

Z tego punktu widzenia można powiedzieć, że praca nad wyodręb-

nieniem radu jest kamieniem węgielnym dla nauki o radioaktywności. Z drugiej strony rad stanowi zawsze najsilniejszy i najbardziej potrzebny środek działania w laboratoriach prowadzących badania nad radioaktywnością. Myślę, że to dzięki tym rozważaniom Szwedzka Akademia uhonorowała mnie w tym roku nagrodą Nobla w dziedzinie chemii". (Interpress" nr 213/2876)

poezja podwójnych źródeł

W środę, 10 grudnia król szwedzki Karol Gustaw wręczył Czesławowi Miłoszowi nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Miłosza na salę wprowadził stały sekretarz Akademii Szwedzkiej prof. L. Gyllenstten, który uzasadniając przyznanie polskiemu poecie tak wysokiej nagrody powiedział: „Miłosz należał do tego młodego pokolenia, które pragnęło odnowienia poezji i które później aktywnie uczestniczyło w podziemnym ruchu antyhitlerowskim... Według pana obcość jest jedną z głównych cech sytuacji człowieka — jesteśmy obcy w tym świecie i obcy wobec siebie. Ale czy tylko obcy? Czy Nagroda Nobla dla pana nie jest również wyrazem i dowodem tego, że granice mogą być przekraczane, że zrozumienie i sympatia mogą się rodzić, że kontakty i więzi między ludźmi mogą być nawiązywane”.

W numerze 18 „Kontaktów” zaprezentowaliśmy wiersze Czesława Miłosza. Dziś natomiast udostępniamy naszym Czytelnikom jego wypowiedzi na temat własnej twórczości, które ilustrujemy, zdobytymi prężyście najnowszymi zdjęciami poety. Zwracamy również uwagę na „Pokusy” gdzie naszych stałych diabłów wspierają czartowskie znakomitości wileńskie spod pióra samego Czesława Miłosza (z powieści „Dolina Issy”).

„Pisanie dla cudzoziemców było tylko pragmatyczne, czy nawet pedagogiczne — bo nie wierzę w możliwość porozumienia poza tym samym językiem i tą samą historyczną tradycją: pisanie po polsku było przeznaczone dla czytelników istniejących gdzieś poza miejscem i czasem, co inaczej nazywa się pisać sobie a Muzom”.

(„Ziemia Ulro”)

„Wszystkich bodaj polskich literatów dręczyło pytanie: Czy można być wielkim pisarzem pisząc po polsku?

(„Prywatne obowiązki”)

„Pycha? Możliwe. Albo raczej świadomość, że jeżeli przemawia się do ludzi, trzeba mieć dużo do po-

wiedzenia. Otóż, ma się dużo do powiedzenia, tylko, jeżeli słowa wymuszają na nas jakiś w nas demonizm, jakąś wewnętrzną udrekę, jeśli niosą one ze sobą, cały brud naszych lęków i wstydu”.

(„Prywatne obowiązki”)

„Chciałem mieć życie szacowne i godne, wśród przyjaciół i krewnych, na rodzinnej ziemi i w mieście, które mógłbym nazwać swoim. Z krótkich chwil radości, zaznanych w gronie kolegów, prawie jak filomatów, układałem sobie później latami życie imaginacyjne, jakie mogłoby być, wśród swojskich wido-ków i swojskich twarzy. Tam, gdzie nikomu nie trzeba tłumaczyć kim się jest i co się robi. A mój los, wygnanie zniosłem źle”.

„Wyruszyłem z mojej wileńskiej młodości na podbój świata, po to tylko, żeby teraz, wbrew dawniejszym sukcesom, patrzeć na siebie jak na kulawca, który posiadał sztukę poruszania się o kulach...”

„Moja poezja jest z podwójnych źródeł — wspomnień wileńskich i miejsca zamieszkania nad zatoką San Francisco”.

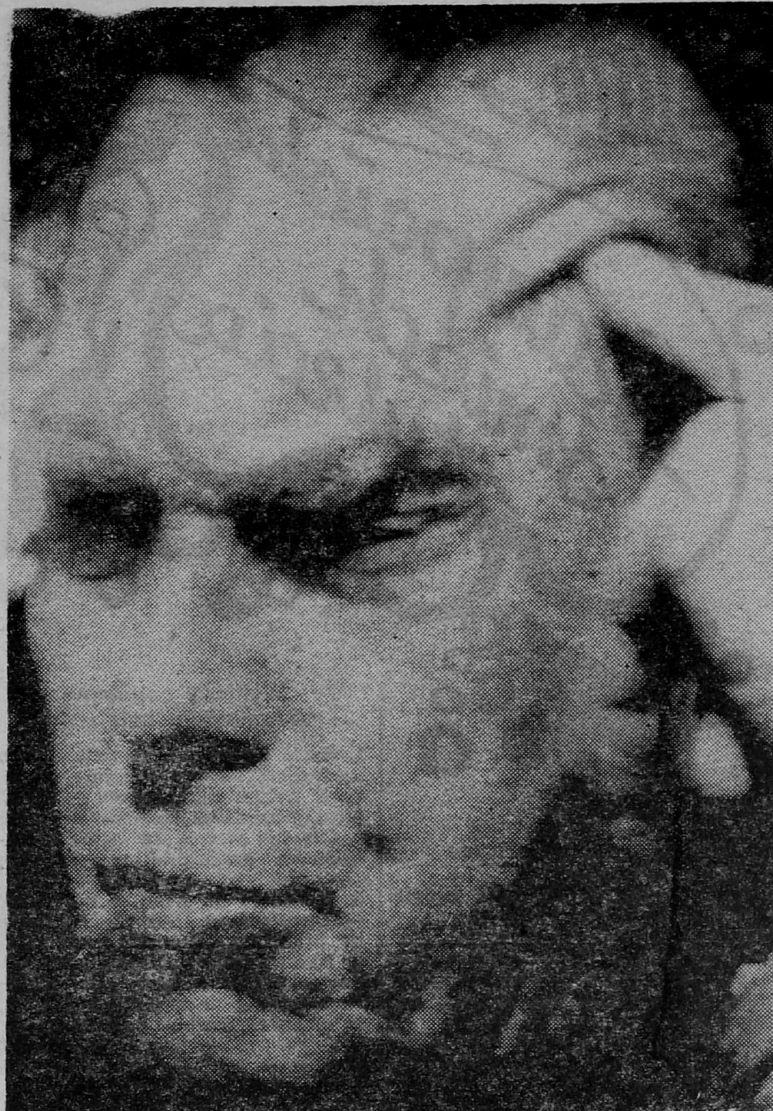
„Zbrodnia, na jakiej nie stałaby się ziemia, domaga się zawsze oczyszczenia”.

„Poezja w czasie okupacji nie była przygotowana do udźwignięcia takiego ciężaru”.

„Pobyt za granicą to podróż w głąb języka polskiego”.

(Z wypowiedzi prasowych)

„Stanowią część literatury polskiej, która jest stosunkowo mało znana na świecie i trudna w przekładach... Porównując ją z literaturą innych krajów mógłbym ocenić



jej niezwykłość. Zwrócona ku historii, zawsze aluzyjna, wiernie towarzyszyła i towarzyszy ludziom w trudnych chwilach. Strofy polskich wierszy krążyły w podziemnym ruchu oporu, pisane były w barakach obozów koncentracyjnych, w żołnierskich namiotach w Azji, Afryce i Europie.

Reprezentować tutaj taką literaturę — to okazywać pokorę wobec dowodów miłości i braterskiego poświęcenia tych, których już nie ma.

Wyrażam nadzieję, że nagroda przyznana mi przez Akademię Szwedzką wynagrodzi również pośrednio tych wszystkich, którzy kierowali moim piórem i których niewidoczna obecność podtrzymywała mnie w ciężkich chwilach”.

(Wypowiedź Czesława Miłosza podczas uroczystości wręczenia mu nagrody Nobla)

Opracował J.K.
Fot. GABOR LURINCZY





Wróżby karnawalowe

— Powiedz mi, Zosiu, jaki będzie karnawał tegoroczny?
— Prawdopodobnie bezpartyjny.
— Co to znaczy?
— To znaczy, że przy obecnej gołębności znów nie będzie można liczyć na dobrą partię.

(„Mucha” — 1929)



Myśli pesymisty

Jeżeli z naszą zgodą narodową pójdzie tak dalej, jak dotąd, to cała Polska zmieni się w jeden wielki zakład przemysłowy, bo wszyscy, łącznie z nami, będziemy sobie skóry garbowali.

(„Mucha” — 1930)

O moralności

Ktoś stwierdził: Istnieje moralność podwójna. I bardzo dużo pisał na ten wdzięczny temat. Lecz ja twierdzę, panowie, że to zwykła bujda. Bo na przykład u nas nawet jednej nie ma.

(Karol Szpalski — 1948)

Wykłady popularne
Uniwersytetu Latającego

1. Życie i obyczaje przedhistorycznych Słowian w dziedzinie defraudacji siekier kamiennych — dr Ci-puta, prezes Ligi Nabierania na Figl.
2. Czy nie można, by nie jeść? — Studium melancholijne prof. Dy-chawca.
3. Co komu do jemu, a mu do go? — Seminarium filozofii handlowej dr. Stanisława Szwindelfesta.
4. Nalewanie z próżnego przy gło-snej reklamie — jako nowe rozwią-zanie problemu Archimedesza — By-ły minister skarbu (incognito).
5. Organizm ludzki a komórki do wynajęcia — Feluś Młodożeniec, student biologii.
6. W co wierzyć i jak zarobić? Czy są duchy, a jeśli są — co to kogo obchodzi? Co ja zarobię na tym odczyt? — Prof. dr Magik Schu-ler — Pyt.
7. Dlaczego i kądery malować? (Teoria nowej sztuki). Jak pisać, że-by wszyscy czytali a nikt nie rozu-miał — Mieczysław Julia Anatol Stein-Nadpolski.
8. Mierzenie czaszek i kieszeni jako metoda antropologiczna przy sanacji moralnej.

(„Mucha” — 1926)



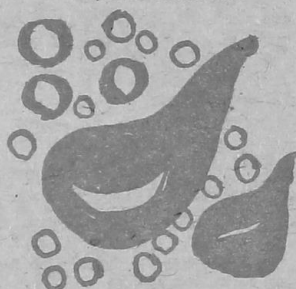
Nie mogę zakończyć sprawozdania z podróży służbowej. Gdzie byłem — napisałem, jak długo byłem — tak-że, ale w jakim celu pojechałem, w żaden sposób nie mogę sobie przy-pomnieć.

(„Szpilki” — 1948)

Święta tradycjonalisty

Siedem dni znosił, cztery szykował, W dzień wszystko zeżarł, w mig zwymiotował.
Wypił trzy litry „pod tę stajenkę”, „Gdy go do mamra wiodła milicja, Wujka zadusił, zadłgał stryjenkę... — To — rzekł — rozumiem. To jest tradycja!

(W. Brudziński — 1950)



Biedni ludzie

Na podwórzu się bawiła Dzieci z domu paczka duża, W pośród nich zaś była także I malutka córka stróża.
— Bocian przyniósł nam braciszka!
Wola córka wielkiej damy. My — rzekł synek urzędnika Dzieci pocztą zamawiały! — My jesteśmy biedni ludzie — Rzecz z smutkiem dzieciak trzeci — Ojciec mój jest tylko stróżem Sam się stara, by mieć dzieci!

(„Bocian” — 1910)

Szczyt dobrego tonu

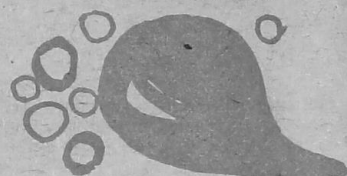
— A zatem?
— Mój panie! Zbyt szanuję mego męża, bym go miała zdradzać z kimś, kto mi jeszcze nie był przed-stawiony...

(„Pan” — 1908)

Diogenes mówi

— Mistrzu, czego potrzeba w Polsce? — Szczygły, słyszysz jak codziennie gram na flecie. Nawet niektóre psy wsłuchują się w harmonię... — Tak, zgody, zgody! Powiedzia-les.
— I zadawania cię ta odpowiedź, dudku? Czy życzyś sobie np. zgody złodziejom, aby tym łatwiej okrada-ć skarby Akropolu? — Ależ nie. Ja myślę o zgodzie pa-triotów.
— Jakich patriotów, pingwinie? Pa-triotów czym? Gębą, stanowiskiem, mundurem, gęganem kapitolńskim? Opasów państwa? — Ja myślę... prawdziwych patrio-tów.
— Proszę cię, weź moją latarkę, po-szukaj, przyprowadź mi choć jedno-go. Podzielę się z nim pieczonym kartoflem, bo pewnie głodny.

(„Szopka” — 1923)

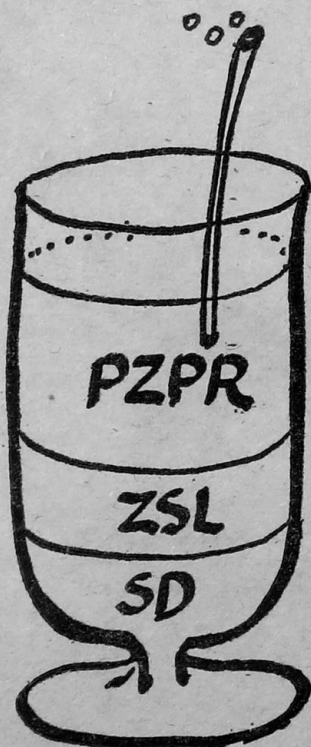


Zły znak

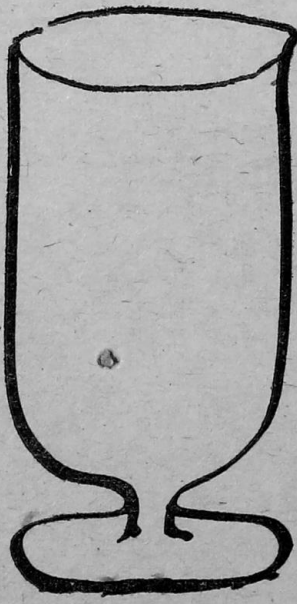
— Jakże małżonek? — Zdaje się, że gorzej, panie dok-torze.
— Pod jakim względem? — Mam wrażenie, że traci przytom-ność. Przed chwilą pytał mnie na przykład, czy co na mieście nie sta-niało.

(„Mucha” — 1926)

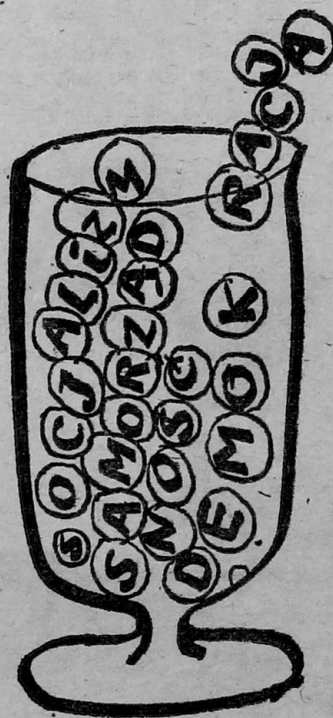
coctaille na 1981



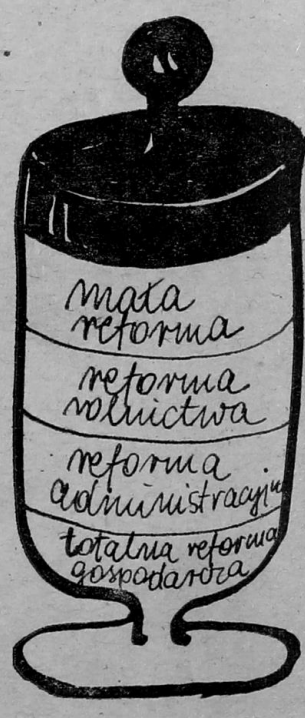
trójpartyjny



cenzurowany



solidarnościowy



administracyjny

współczesny dekalog dla pijących

Świąteczna okazja wymaga świątecznego picia. Oto kilka rad dla pragnących utrzymać się, jeżeli już nie na nogach, to przynajmniej na poziomie... współbiesiadników.

Nie rozbieraj się do świątecznego rosołu, nawet jeżeli będzie w nim młoda kurka.

W czasie wznoszenia toastu na część gospodarzy nie klaszcz powarzach sąsiadek.

Nie strzelaj do gości, nawet gdy zabraknie szampana.

Nie pokazuj palcem na półmisek mówiąc: o, znajome mózdzki, a, znajome pysie.

— Nie drażnij karpia, gdy śpiewa w sosie greckim.

— Nie używaj fortepianu jako maszyny do pisania.

— Nie zaczepiaj nieznanymi luster w lokalach, nawet jeżeli masz w ręku butelkę po piwie.

— Nie wypychaj kelnera na schody w przekonaniu, że to ktoś z rodziny żony.

— Nie składaj donosów na przystankach tramwajowych.

— Nie wchodź do apteki przez szybę wystawową, nawet jeżeli drzwi są zamknięte.

Najnowsze, niekonwencjonalne wzory życzeń

Wzrost zakupów! — pracownikom handlu.

Niech pan zawsze tryska... humorem i zdrowiem! — strażakom.

Polamania piór! — cenzorom.

Najbardziej i córki! — nauczycielom prowadzącym liczną rodzinę.

Pomyślnych wiatrów! — biednym.

mizerotom, a szczególnie cierpiącym na żołądek.

Uszy do góry! — osłom.

Darzbór! — jeleniom.

Miękkiego ładowania! — spadochroniarzom itp.

Szerokiego pobocza! — outsiderom.

Oby nam się... Bądźmy dobrej myśli! — na wszelki wypadek.

terminarz świąteczny

16—23 XII. Tydzień porządków przedświątecznych. W tym tygodniu każda pani domu (apartamentu, klitki, nory) przewraca wszystkie kąty i kąty pod hasłem zadaniowych i gruntownych porządków. Jeżeli małżonek nie chce być wytrzebany, lepiej gdy usunie się w kącie zacisznej kawiarenki (piwiarenki). Wybranie tego azylu świadczy o roztropności męża i dużym poczuciu odpowiedzialności za portfel. W małżeństwach opartych na nowoczesnym modelu żona dopuszcza męża do stania w kolejkach, trzepania dywanów, zmywania podłóg, wstępnej obróbki mięsa i kręcenia babek (piaskowych). Najbardziej postępowe żony powierzają mężom również tak wyrafinowane prace jak pieczenie, gotowanie, przepierki.

24.XII. Od rana zaczyna się wygładzanie na pierwszą gwiazdkę. Dzień jest niezwykle nerwowy, bo wszystko należy wygładzić, dopatrzyć, dokończyć, a jakby tego było jeszcze mało — odkurzyć choinkę, obwieścić ją świecidełkami i konieczności wykapać się. To wszystko z żołądkami ściśniętymi z emocji i głodu. I dlatego tak czekamy gwiazdki — sygnału do uczy. Wprawdzie zazwyczaj opłatkami a kończymy kompotem, ale te dwanaście dań w niedługim czasie, chociaż postne, robi swoje.

Kolację wigilijną w bieżącym roku zalecamy jeść wyłącznie przy świetle gwiazdki wigilijnej, w wyjątkowych przypadkach przy świecach choinkowych.

25—26 XII. Święta. Upragnione i oczekiwane. Niestety, towarzyszą nam często wizyty wcale nie wyuczonych, zapomnianych przyjaciół, niesympatycznych ciotek i pociot-

znów się śmiać, żartować. Trzeba zrobić coś szampańskiego, zabawnego. — Proszę, zrób!

Wtedy dopiero zauważyłam, jak nam wszystkim odechciało się śmiać. Bo do sierpnia żyliśmy w dziwnym kabarecie, gdzie było śmieszne wszystko, co nas otaczało, a najbardziej śmieszyło nas prawda. Śmiech coraz bardziej wymuszony i sztuczny. Gdzieś tam — chichot, przeraźliwy. Nagle, jak po silnym uderzeniu pięścią w stół czy w ucho, coś nas wreszcie otrzeźwiło i — zabolalo. Ustaly śmiechy. Skończyły się dowcipy, dykteryjki. Głos zabrala prawda — ograniczana, fałszowana, zawalowana. Ale wreszcie prawda. Czas krytyki, dyskusji, refleksji. I nawet śmiech brzmi dzisiaj inaczej.

DANUTA WRONISZEWSKA



„KODEKS TOWARZYSKI” PRZED 50 LATY JÓZEFA MIKUSINKIEGO ZALECAŁ:

Rak nie trzymaj w kieszeniach, ani w tyle, ale, gdy nie są zajęte, trzymaj je przed sobą złożone. Nie bierz się za boki, rak nie zaciera, nie młynkuj wielkimi palcami na brzuchu, nie dotykaj się rękoma bez potrzeby brody, włosów, a tem bardziej wystrzegaj się jak najpilniej dłubania palcami w nosie, zębach, uszach, wrywania króst z twarzy i dotykania rękami tych części ciała, których przyzwoitość dotykać nie pozwala.

Wystrzegaj się jak najpilniej abyś po wytarciu nosa do chustki nie zaglądał, ani się bawił rozcieraniem tego, co jest na chustce.

Gdy siedzisz nie rozpijaj się na krzesle, nie sadów się na jego brzegu, gdyż możesz spaść i na pościelisko albo nawet i na nieszczęście się narazić.



Gdy chodzisz ze starszą osobą, chodź tak, aby ona była zawsze po prawej twojej ręce; nie zatrzymuj się dopóki się ona nie zatrzyma, nie wyprzedzaj jej, ale owszem idź nieco za nią. Kiedy dochodzisz do końca ulicy, zwracaj się z nią równocześnie i twarzą do niej.

Gdy z kim rozmawiasz, nie patrz w twarz jego, ale nieco niżej, zwłaszcza jeśli rozmawiasz z osobą innej płci, lub starszą. Gdy mówisz nie przybliżaj włosów do twarzy innych, nie mów do nich zbyt blisko; szczególnie, gdy ci czuć z ust lub nie masz zębów, a stąd ślina twoja może upaść na innych.

Jeżeli nie jesteś lekarzem, ani znasz się na sztuce lekarskiej nie przepisuj lekarstwa chorym, nie dotykaj pulsu zwłaszcza osoby innej płci.

Wystrzegaj się drzemania w towarzystwie, ziewania, a gdy się wstrzymać od niego nie możesz, zasłaniaj usta ręką lub chusteczką i odwracaj twarz od oczu przytomnych.

Nie zabijaj much, pcheł, robaków itp. w oczach innych.

Nie obracaj się w towarzystwie tyłem do innych, nie kichaj, nie spluwaj przed nimi, kichając, odwróć się na stronę i nos chustką zasłoń; spluwaj w piaseczniczkę, (a gdy tej nie ma w chustkę) nigdy zaś na posadzkę lub dywan.

Wystrzegaj się w towarzystwie niewłaściwych grubiańskich żartów, np. nie wyciągaj chustki, pugilaresu z kieszeni osób blisko siedzących, nie usuwaj krzesła wtedy, gdy ktoś ma usiąść, nie podawaj do wachania tego, co nieprzyjemny ma zapach itp. (żartów szubackich należy się bardzo wystrzegać).

Nie drap się w głowę, nie dłub w nosie; nie wytknuj palcem, szpilką, piórkiem, widelcem z zębów, a tem bardziej nie przyglądaj się temu, co z nich wyjął, aby obrzydzenia we współbiesiadnikach nie wzbudzić.

Co nabierzesz na łyżkę, zjedz od razu; nie dmuchaj na to, co masz do ust włożyć. Kiedy jesz coś płynnego, nachyl się trochę i uważaj, abyś nie lał na ubranie swoje i innych. Nie pij rosołu talerzem, ani wylewaj z niego na łyżkę, a następnie wypijaj. Nie kłaskaj jedząc lub pijąc, ani łup kości zębami lub nożem.

Nie zabieraj ze stołu do kieszeni owoców, cukierków i innych łakoci.

Orzechów itp. nie wolno rozłupywać zębami.

Jadąc rowerem, jedź zawsze gościnnie, nigdy chodnikiem; nie przejeżdżaj bez poprzedniego dania sygnału tuż koło przechodniów, nieczeg się nie spodziewających, może to ich narazić na przestach, a ciebie na nieprzyjemność, unikaj także niepotrzebnego dzwonienia. Na ulicach — bardzo ruchliwych prowadź rower, przy skręcaniu, pod górę lub na skrajach jedź powoli; nie jedź za wozem wzniciającym kurz, unikaj przemęczenia się.

Winszując nowej godności, oświadczyć, że cieszysz się, iż to, co dawno osobie jakiejś się należało, osiągnęła; dotychczas i życzenia, aby do wyższych dorosła godności.

Listy nadeszłe opłać, aby adresat za ciebie grzywny nie płacił; pisz adres wyraźnie i dokładnie; przylepiaj znaczki pocztowe (nie przewrócone) po stronie adresu u szczytu prawego brzegu koperty. Nie zwilżaj językiem brzegu koperty, napuszczonego gumą lub marką, gdyż to zdrowiu szkodzi, a nieprzyjemne jest tym, którzy na ciebie patrzą.

opracował: JS



Rys. IWONY SIELSKIEJ

Koniec roku — to jak zwykle okazja do różnego rodzaju podsumowań i refleksji. Dlatego też chcielibyśmy naszym Czytelnikom zaprezentować wypowiedzi działaczy sportowych i trenerów na postawione im przez nas pytania:

1. Jakie wydarzenia w łomżyńskim sporcie były w mijającym roku najbardziej interesujące?
2. Czego można życzyć naszemu sportowi w nadchodzącym roku?

MIECZYSLAW CZERNIAWSKI — kierownik wydziału KW PZPR w Łomży:

1. Największym wydarzeniem pozytywnym było dla mnie to, że pomimo tak skromnej bazy i kadry szkoleniowej wprowadziliśmy do finałów VII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieżowej dwie dyscypliny zespołowe, oraz zdobycie brązowego medalu w strzelectwie. Nikt chyba na to nie liczył. W sensie negatywnym — w dalszym ciągu zaskakuje mnie postawa działaczy sportowych, którzy ciągle nas zaskakują nowymi koncepcjami rozwoju sportu. Mam nadzieję, że rok 1980 będzie ostatnim rokiem ciągłych dyskusji. Bo wprowadzenie korekty muszą być wprowadzane na bieżąco, ale generalna linia działania powinna być wypracowana i konsekwentnie realizowana. Musimy również w naszym województwie ustalić realną geografie sportu. Sekcje wiodące muszą mieć zaplecze w innych miastach województwa i działać w warunkach konkurencyjnych. Do tej pory rozwój danej dyscypliny sportu na ogół związany był z osobą konkretnego trenera. Gdy odchodził kończyła się działalność i rozwój tej dyscypliny. A przecież nie można w nieskończoność robić sportu pod trenera!

2. Życzę wszystkim aby pomimo trudności inwestycyjnych ruszyła sprawa, na razie przynajmniej, mini-hali sportowej w Łomży. I jeszcze jednego bardzo ważnego: aby tym, którzy podejmują jakąś sprawę nie zabrakło konsekwencji.

HENRYK TROJANOWSKI — wiceprezes Wojewódzkiej Federacji Sportu:

1. Bardzo wysokie miejsce naszego województwa na spartakiadzie tym bardziej, że znaleźliśmy się w czołowej piątce województw, które odnotowały największy postęp. Z tego ogromnie się cieszymy. Dalej — uporządkowanie systemu współzawodnictwa szkół ponadpodstawowych i klubów sportowych. Wynika z tego możliwość prowadzenia systematycznego szkolenia. Natomiast bardzo martwi mnie całkowity brak postępu w budowie bazy sportowej w województwie.

2. Życzenie? Z pięcioma wykrzyknikami: żeby w Łomży zaczęto budować halę sportową! I żeby udało się uzyskać powszechną akceptację naszych zamierzeń a ich realizacja była podyktowana wewnętrzną potrzebą i chęcią wszystkich organizacji sportowych.

ZDZISŁAW SAWICKI — wiceprezes Rady Wojewódzkiej „Start”:

1. Miłym zaskoczeniem było siódme miejsce reprezentacji Wojewódzkiego Zrzeszenia Spółdzielczości Pracy „Start” wśród czterdziestu sklasyfikowanych województw (w roku ubiegłym byliśmy na trzydziestej drugiej pozycji).

2. W przyszłym roku będziemy organizatorami V Ogólnopolskiej Spartakiady Sportowo-Rekreacyjnej Spółdzielczości Pracy Zrzeszenia Sportowego „Start”. Liczymy w związku z tym na zacieśnienie współpracy z pozostałymi organizatorami sportowymi województwa. Chcielibyśmy wykorzystać szansę jaką daje nam organizacja tej imprezy do rozszerzenia naszej działalności na wszystkie spółdzielnie w województwie.

JAN MARCIŃCZYK — zastępca przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego SZS w Łomży:

1. Nie zaskoczyła mnie, ale cieszy — wysoka pozycja naszego SZS w kraju, dobrze zorganizowany system imprez młodzieży szkolnej oraz utrzymanie w drugiej lidze zespołów tenisa stołowego i lekkiej atletyki. Natomiast w dalszym ciągu martwi niedowład organizacyjny w sporcie wychowawczym i niewłaściwa działalność związków sportowych. Inną bolączką jest obojętny stosunek administracji miast i gmin do spraw kultury fizycznej w naszym województwie.

2. Pragnęłbym stabilnych i realnych planów rozwoju sportu wychowawczego. Działaczom „Zorzy” życzę, aby ich klub awansował do pierwszej setki klubów w kraju. Młodzieży zaś życzybym, aby oprócz dwóch obowiązkowych godzin wy-

chowania fizycznego mogła poświęcić dodatkowo jeszcze minimum cztery godziny w tygodniu na sport, który lubi.

LUCJAN CIUCHTA — prezes Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego:

1. Sprawą nieprzyjemną jest brak funduszy na naszą podstawową działalność; ciągle jesteśmy na garnuszku WFS w Łomży. Cieszą oczywiście wyniki pracy trenerów i zawodników.

2. Rok 1981 będzie dla nas rokiem jubileuszu, osiemdziesięciolecia! Chcemy więc zaprezentować się z jak najlepszej strony — skromnie, ale efektywnie. Dobrze byłoby aby ktoś (może Prezydent Łomży?) przyjął patronat nad bądź co bądź najstarszym klubem w tej części Polski.

JERZY ROZBICKI — prezes Automobilklubu Łomżyńskiego:

1. W tym roku odbył się po raz pierwszy Łomżyński Rajd Pań. Zapal kobiet był niespotykany — wszystkie chciały zwyciężyć. Zorganizowaliśmy także wspólnie z Zarządem Wojewódzkim PCK kurs ratownictwa drogowego. Ukończyło go dwanaście osób, w tym jedna kobieta. Samochody ratowników są odpowiednio oznakowane i wyposażone. Bardzo często przecięż szybkość u-

lidarności” i związki branżowe nie zapomnieli, że sport to ważna dziedzina naszego życia. Bardzo liczymy na ich pomoc.

WIESŁAW SZCZYPA — wiceprezes WLKS „Narew” w Łomży:

1. Miłym zaskoczeniem był niewątpliwie złoty medal w ciężarach na VII Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży wywalczony przez Arkadiusza Bojarowskiego. Ten sukces potwierdza jak wiele można osiągnąć rzetelną, systematyczną pracą. Niezakwalifikowanie się zapasników do finałów spartakiady traktujemy jako „wypadek przy pracy”.

2. Życzę sobie rychłego poprawienia naszej bazy treningowej oraz dostatecznego zabezpieczenia finansowego dla prowadzonej działalności.

JERZY BOGDAN — nauczyciel wychowania fizycznego w Liceum Ogólnokształcącym w Łomży:

1. Mam nareszcie w szkole dwie pożądane szatnie przy sali gimnastycznej. Do tej pory młodzież nie miała ani szatni ani zimnej wody i WC. Boli mnie natomiast, że wojewódzki Szkolny Związek Sportowy w dalszym ciągu rezygnuje ze współpracy z nauczycielami. Czy można rzeczywiście lekką ręką tracić fachowców, jakimi są nauczyciele wychowania fizycznego, szczególnie w sytuacji, gdy w województwie brakuje trenerów?

2. Chciałbym, aby w roku 1981 skończył się wreszcie panujący u nas bałagan, żeby w końcu SZS zaczął współpracować z wizytatorami Kuratorium Oświaty i Wychowania. Kuratorium musi przecież czuć nad całością. Z okna swojej szkoły codziennie spoglądam na bu-

SLAWOMIR KOBYLINSKI — trener sekcji szermierki MKS „Zorza” w Łomży:

1. Jestem bardzo zadowolony z zapasu i postępów szkoleniowych młodzieży sekcji szermierzy. Martwi mnie natomiast kłopoty z bazą i sprzętem do treningów oraz niewiara w nasze możliwości sukcesów na arenie sportu wojewódzkiego. Powiedziałbym, że jest to kompleks prowincji, wynikający być może z obojętnego stosunku wojewódzkiej administracji do kultury fizycznej. Najgorsza jest jednak niekonsekwencja, zawiść i prywata wśród ludzi działających w kulturze fizycznej.

2. Całemu sportowi łomżyńskiemu życzę sukcesów i aby problemy o których wspominałem mogły należeć w przyszłym roku do historii.

KAZIMIERZ KACZYŃSKI — działacz sportowy ŁKS Łomża:

1. Odmłodziliśmy drużynę seniorów, ale młodzi piłkarze nie spełnili naszych oczekiwań. Być może zmiany były zbyt radykalne. Ciągłe popełnianie starych błędów, dalej ze sprawami wychowawczymi nie jest dobrze i brak nam konsekwencji w działaniu. Zaskakuje również stosunek trenerów do działaczy. Sprawiają oni wrażenie wszytkowiedzących a przecież ludzi nieomylnych nie ma. Dlaczego lekceważą nas?

2. Moim życzeniem jest, aby wreszcie jasno sprecyzować cele naszej działalności. Na razie nie wiadomo co mamy robić — sport ma sowy czy wychowawczy?

WIESŁAW WIŚNIEWSKI — członek zarządu MKKS „Warmia” w Grajewie:

1. Już trzeci rok działam w klubie i ciągle mam kłopoty finansowe. Pomoc zakładów pracy jest symboliczna, nawet z transportem mieliśmy kłopoty i kilka meczów musieliśmy oddać walkowerem. Do tego dochodzi trudności kadrowe w drużynie seniorów piłki nożnej. Śmieszne, ale w piętnastotysięcznym mieście nie ma komu grać w piłkę.

2. Moim życzeniem jest wyeliminowanie w przyszłym roku trudności, o których mówiłem.

TADEUSZ SZCZEPANIAK — kierownik sekcji zapasów WLKS w Łomży:

1. Niemalą niespodzianką było niezakwalifikowanie się naszych zapasników do finałów spartakiady młodzieży. Chłopcy byli bardzo dobrze przygotowani. Szkoda że złośliwe kontuzje zniweczyły wysiłek wszystkich.

2. Życzeń mam kilka. Chciałbym, aby wlokąca się od kilku lat budowa pawilonu zakończyła się w nadchodzącym roku. Zamierzamy zgłosić drużynę do turnieju o drużynowe mistrzostwo Polski w kategorii młodzików. Będzie to trzon drużyny seniorów, którą zamierzamy w przyszłości zmontować. No i żebyśmy doczekali się nareszcie przychodni sportowo-lekarskiej z prawdziwego zdarzenia.

JAROSŁAW SARNACKI — instruktor tenisa stołowego MLKS „Wissa” w Szczuczynie:

1. Plusów jest dużo: zakończenie remontu stadionu miejskiego, na którym część robót wykonano w czynie społecznym, aktywny udział instytucji w pierwszej spartakiadzie zakładów pracy, utrzymanie dotychczasowej ilości sekcji w klubie, niezła sytuacja finansowa. Cieszy również załatwienie w duchu sportowym, dzięki zdecydowanemu stanowisku władz sportowych, nieprzyjemnej sprawy związanej z barażami o wejście do klasy okręgowej.

2. Marzy mi się awans piłkarzy do klasy okręgowej i szybka budowa basenu gdyż zwiezione elementy niedługo nie będą się nadawały do niczego.

ANDRZEJ SKARŻYŃSKI — pracownik Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Łomży:

1. Sytuacja w kraju spowodowała odwołanie wielu imprez i nasze instytucje turystyczne poniosły około 500 tysięcy złotych strat. Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej (WOIT) — agenda „Biebrzy”, powołany przed dwoma laty w dalszym ciągu nie wykonuje swojej pracy należycie, działa nienajefektywniej, mało jest wydawnictw i informacji reklamujących walory krajoznawcze naszego regionu.

2. W przyszłym roku chcielibyśmy dokonać oznakowania tras oraz szlaków turystycznych w województwie. Dużo obiecujemy sobie po nawiązaniu współpracy z pionem kultury.

Opracował:
STANISŁAW TOMASZEK

sportu łomżyńskiego osiągnięcia i zamiary

dzielenia pomocy decyduje o życiu uczestnika krakusy.

2. W przyszłym roku pragniemy powiększyć grono naszych członków do tysiąca osób. Da nam to możliwość większego pozytywnego oddziaływania na użytkowników dróg. Chodzi o podnoszenie kultury i większe bezpieczeństwo na naszych drogach.

HENRYK JAKUBOWSKI — prezes Łomżyńskiego Klubu Sportowego:

1. W dalszym ciągu brak u nas realnego spojrzenia na sprawy kultury fizycznej. Ilu działaczy tyle koncepcji, a co gorsze, wszyscy przedkładają interes własny nad interes ogółu! W końcu ktoś kompetentny powinien zacząć koordynować działania i rozliczać z zadań.

2. Chciałbym, aby nareszcie zostały uregulowane sprawy finansowania sportu i żeby skończyć z przypadkowością w naszej działalności — wtedy będą wyniki.

JAN KOBUS — wiceprezes MSZS „Narew” Ostrołęka:

1. Pechowo dla naszych piłkarzy zakończyły się baraże o III ligę. Na kilkanaście minut przed zakończeniem meczu byliśmy jeszcze w III lidze. Chyba brak odporności psychicznej i kondycji fizycznej naszych zawodników zadecydował o tym, że nadal gramy w okręgowej. Są jednak i rzeczy miłe, np. istniejąca od 1978 roku sekcja bokserska, z którą pracuje jeden szkoleniowiec zatrudniony na pół etatu; sześciu młodych bokserów mamy w kadrze Polski.

2. Życzę sobie i wszystkim kibicom piłkarskim, aby nasi zawodnicy awansowali do III ligi. Na razie wszystko wskazuje na to, że marzenia się ziszcą. Najważniejsze, żeby system stypendialny proponowany dla piłkarzy objął więcej dyscyplin sportowych, m.in. siatkówkę i inne gry halowe. Autorami skandali są wyłącznie piłkarze. Może w końcu piłkarzy przestanie się traktować jak święte krowy.

JANINA RADZIWIŃ — wiceprezes MZKS „Olimpia” Zambrów:

1. Jesteśmy trochę rozgoryczeni. Nikt w województwie nie pamiętał, że „Olimpia” w tym roku obchodzi jubileusz 25-lecia. A przecież nasz klub jest znany w województwie.

2. Życzenie mam jedno: aby „So-

dujący się basen. Zakończenie jego budowy w roku 1981 byłoby dla mnie jedną z większych przyjemności.

ADAM GRABOWSKI — dyrektor MGOK w Goniądzu:

1. Brak zainteresowania ze strony władz i odpowiednich czynników doprowadził do tego, że od dwóch lat „Biebrza” istnieje tylko na papierze. Faktem jest również, że nasza młodzież ma zainteresowania inne, tylko nie sportowe. A przecież mamy bogate tradycje w ciężarach. Aby reaktywować działalność tej sekcji chcielibyśmy powołać w przyszłym roku gminną ligę ciężarów i w oparciu o nią stworzyć silną sekcję w Goniądzu.

2. Naszym pragnieniem jest odciągnąć młodzież od alkoholu, gdyż stał się on u nas plagą.

MACIEJ MACIEBOCH — instruktor sekcji TAE KWON DO (TKKF):

1. Najbardziej cieszy mnie uznanie karate za sport olimpijski. Karatecy będą zdobywać medale olimpijskie już w roku 1984. Nasza sekcja liczy się w kraju. Świadczy o tym chociażby fakt wejścia przedstawiciela Łomży do jednej z komisji Polskiego Związku Karate. Martwi mnie natomiast ogromne zainteresowanie łomżyńskiej młodzieży naszą dyscypliną sportu, gdyż brak nam możliwości objęcia szkoleniem i stworzenia odpowiednich warunków treningu dla wszystkich chętnych.

2. Moim marzeniem jest, aby ósemka naszych karateków w ostatnim decydującym turnieju wywalczyła awans do I ligi.

ROMUALD SYNOW — nauczyciel wychowania fizycznego w Zespole Szkół Zawodowych w Łomży:

1. Dziewczęta z naszej szkoły, wbrew opinii, że trafia do nas najsłabiej przygotowana młodzież, wygrały współzawodnictwo sportowe szkół sprawiając nam miłą niespodziankę. Ubolewam, że odeszły z naszej szkoły koszykarki, co świadczy o niewykorzystywanych możliwościach naszego sportu.

2. Moim życzeniem jest, aby nareszcie współpraca pomiędzy WFS i SZS weszła na właściwe tory, bo od tego zależą wyniki i lokaty naszych sportowców, żeby w naszej działalności było jak najmniej aktywności a więcej planowej roboty.





krzyżówka świąteczna

Do rozwiązania wyrazów krzyżówki litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu zestawione w kolejności od 1 do 40 utworzą rozwiązanie.

POZIOMO: 1) potocznie o osobie nie związanej z wojskiem; 6) zmiana miejsca mieszkania, przenosiny; 11) stan wiedzy o społeczeństwie; 12) narząd; 13) pomiary, jabłkowy do picia; 14) niejeden przy świątecznym stole; 15) mały pojazd znowy; 16) Francesco, pułkownik włoski, uczestnik powstania styczniowego; 17) kotka na wierzbie; 20) liczba wydania jednego numeru „Kontaktów”; 24) choinka z nią koledzy; 27) wigilijny solenizant; 30) szarża, stopień wojskowy; 31) śląski rdz; 33) rodzaj chustki zawijanej pod szyję; 34) sztuczna przegroda, zapora do nabycia; 35) legendarny założyciel wawelskiego grodu; 37) pasja, konik; 38) miejsce dowl karpia; 41) ziemniaczany szkodnik; 42) duże skupisko płynących ryb; 43) metoda postępowania, sposób, system; 44) towarzyszy debiutantom przed występem; 47) wigilijna ryba; 48) kuglarz, sztukmistrz; 51) kurtka dżokejska; 54) dycha; 55) autobus turystyczny; 56) kowbojski rekwizyt; 57) szkło o wysokim współczynniku załamania światła; 58) rośnie w cenie; 59) spis, rejestr; 60) szopka, ale; 61) miasto wojewódzkie nad Wisłą; 63) wytyczony szlak, droga; 66) kara o gruszką; 69) żalosna pozostałość po statku wodnym; 70) gorący okres u studentów; 73) pudełeczko służące do przechowywania drobnych, kosztownych przedmiotów; 74) błyszcząca ozdoba na choince; 75) może być morska, krajoznawcza, polna; 76) litera głuchoniemych; 79) odnoga rzeki lub dawne jej koryto; 80) meta, rzeź; 82) duże przemysłowe miasto w Czechosłowacji; 83) miasto we Włoszech, połączone kanałem z Adriatykiem; 84) szlam, namul; 86) na murawie; 87) poźliwa wejście na statek; 90) ryba z rodziny karpowatych, w Polsce bardzo popularna; 91) osoba zobowiązana do zapłacenia sumy określonej w wekslu; 95) chroni; 96) przynęta; 98) rodzaj składanego noża; 99) twórczyni dzieła; 100) przeciwieństwo degradacji; 101) włoska złotówka; 102) ktoś bliski z rodziny; 103) stragana; 104) jej wprowadzenie do produkcji odciąża człowieka; 105) popularny materiał ubraniowy.

PIONOWO: 1) świąteczne drzewko; 2) 24 grudnia; 3) autor powieści „Wilki morskie”; 4) drzewo na choince; 5) urzędowy wykaz stawek plac, cen towarów; 6) wiatr wiejący ku równikowi; 7) zabronienie; 8) metalowy uchwyt, rączka na drzwiach; 9) na kopercie, widokowce; 10) między aktami; 18) pochwała, aprobata; 21) typ aktora; 22) cienko rozwałkowane ciasto na kluski pokrajane w kwadraciki; 23) ciężkie przeżycie, nieszczęście; 24) znany góralski gawędziarz; 25) tyran, despot, kat; 26) szczególnie strój kobiety na bal sylwestrowy; 28) podarek, prezent; 29) używany jest do strzeli; 31) członek ludu germańskiego; 32) cyganka z powieści „Chata za wsią”; 35) tradycyjna potrawa wigilijna; 36) człowiek wywodzący się z wyższych sfer społecznych; 39) rodzaj taśmowego przenośnika; 40) do gaszenia jako materiał budowlany; 45) poprawki przy zdjęciu; 46) przynosi świąteczne podarki; 48) góruje ponad żaglowcem; 49) niewielkie wzniesienie, miejsce zimowych zabaw dziecięcych; 50) strączyńiec; 51) np. agrest, porzeczka; 52) szaruga, plucha; 53) potrawa mięsna na świąteczny stół; 59) jar, parów; 62) ozdoba na kobiecym uchu; 64) stos atomowy; 65) ryba słodkowodna z rodziny lososiowatych; 67) chłodziarka; 68) potocznie pusta przestrzeń, pustka; 70) coś z warzyw; 71) odłupany kawałek drewna, zwłaszcza smolnego; 72) przyrząd; 77) wystająca część twarzy; 78) pocztowy przy adresie; 80) nie lubiany jest przez skazańca; 81) przyjmuje życzenia 24 grudnia; 84) rodzaj niskiej kanapy, sofa; 85) człowiek zarozumiały, zuchwały; 88) zapas; 89) osoba niegrabna, brzydka; 90) przyspiesza gojenie się ran; 92) starszy flisak; 93) pojedynczy oddany z pistoletu; 94) znany utwór G. Hauptmanna; 98) wyrównuje powierzchnię drogi.

„HCL”

Rozwiązanie, którym jest samo hasło, prosimy nadsyłać na adres: Redakcja „Kontaktów”, ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, w terminie do dnia 10 stycznia 1981 r. Wśród trafnych odpowiedzi rozlosujemy nagrody, tym razem nie tylko książkowe.





KONTAKTY

MINI-KABARET
PIEKIELKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
DIABELSKIE
OBRACHUNKI

Tym razem akcja toczy się w szeroko pojętej dolinie Narwi, gdzieś między Wisłą a Bugiem. Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Narwiański, Biebrzański i Buzański, przygotowują się do kolejnego bankietu, tym razem świątecznego. Stoły uginają się od jadła. Poczesne miejsce zajmuje faszerowana karpulena a la karp po żydowsku, makaron a la ziemniaki jednofajeczne, czarny salceson a la szynka wędzona garnirowana, koscianka a la krakowska parzona, babka piaskowa z piasku, keks z farfocelami i smółwka z dziegciu. Panuje nastrój dobrej udawanej radości oraz pogody ducha. Nasi bohaterowie w odświeżonych kubraczkach z konopi a la czysta żywa wełna, woolmark, wyraźnie na coś lub na kogoś czekają.

NARWIAŃSKI: No, to mamy, czegośmy chcieli.

BUZAŃSKI: Kolega wyraża się niezbyt precyzyjnie. Zamierzaliśmy innych urządzić, nie siebie.

DOJLICKI: Nie rozumiem, o co wam chodzi. Stoły pełne? Pełne! Smółwka jest? Jest! Kubraczki ciepłe? Ciepłe! Tak i mordercy zamknąć oraz zewrzeć szeregi. Nam potrzebny jest spokój i rozważa.

BIEBRZAŃSKI: Popieram z całą odpowiedzialnością. O prowokację przecież nie trudno.

DOJLICKI: Zwłaszcza że się pod nas tu i ówdzie podszywają niektórzy wrednie.

NARWIAŃSKI: Co to mianowicie znaczy?

DOJLICKI: Znaczą, że się niektórzy w sposób personalny utożsamiają z nami i naszą działalnością!

NARWIAŃSKI: O cholera, tego jeszcze brakowało!

BUZAŃSKI: A to niby czemu? Oni, bywa, działają czasem jeszcze lepiej od nas.

DOJLICKI: Ciii... jeszcze jakis funkcjonariusz z nasłuchu piekiel-

nego usłyszy... porozmawiajmy lepiej o naszych przewagach. Co tam u was, kolego Biebrzański?

BIEBRZAŃSKI: Do przodu, ale tyłem. Ostatnio urządziłem jednego rolnika ze wsi Osowiec, nazwiskiem Wojtach Józef. Węgla mu nie dałem. O!

NARWIAŃSKI: Iiii... też mi coś. Węgla i tak nigdzie nie ma.

BIEBRZAŃSKI: A właśnie, że jest. Przywieźli, rozumiecie, do Goniądza. Rzeczony Wojtach Józef dnia 3 grudnia br. wstał był o pierwszej rano, czyli w środku nocy, i piechotką 10 km do Goniądza drałował, by świtem bladym kolejką do węgla zająć. Urzędniczka węglowa, niejaka Mazur Eugenia, oświadczyła mu wszakże, iżby wpadł do niej w piątek, piątego znaczy. Rzeczony Wojtach Józef, wiedziony chęcią nabycia tegoż węgla, przemierzył owe 10 km, w jedną oczywiście stronę, ponownie...

BUZAŃSKI: To już zaliczył 30 km?

BIEBRZAŃSKI: Cicho, nie koniec jeszcze na tym. W piątek od urzędniczki węglowej, Mazur Eugenii, otrzymał był Wojtach Józef kwit, na mocy którego miał wpaść w najbliższy poniedziałek.

NARWIAŃSKI: I wpadł?

BIEBRZAŃSKI: Jeszcze jak! Znowu wstał o zwykłej porze, czyli w godzinę po północy, podrałował do Goniądza, gdzie w SKR-ze zamówił ciągnik z przyczepą na węgiel, za tysiąc polskich złotych.

NARWIAŃSKI: Więc dostał w końcu ten węgiel?

BIEBRZAŃSKI: Skądże, czy wy mnie, kolego, nie znacie? Nie dość że węgla mu nie dali, to i kwit stracił. Urzędniczka węglowa, Mazur Eugenia, na ludzkich oczach swoje własne pismo wzięła i podarła. — Poszedł won! — rzekła obelżywie i woluntarystycznie - autokratycznie. Włosianin Wojtach Józef zastosował się do bezwzględnej nakazy. Dymał do chaty swoje 10 km z kwitem na opłacenie ciągnika.

DOJLICKI: Pozwólcie, że was podsumuję, kolego Biebrzański. Jeśli dobrze zrozumiałem, Wojtach Józef dymał sześćdziesiąt kilometrów płacąc za to tysiąc złotych, czy tak?

BIEBRZAŃSKI: Nie inaczej.

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Turoń i czarownica kłeczą masło.

CZAS OCZEKIWANIA

Okres Świąt Bożego Narodzenia jest czasem wiązania starego z nowym, jest czasem oczekiwania, i nie dziwnego, że wypełnia go tak dużo wróżb i magii, mogących przybliżyć lepsze jutro. U Łukasza Gołębiowskiego czytamy, że już w wigilię opasywano stół łańcuchem, „ażeby się chleb trzymał”, a pod stół wkładano żelazny plug, „ażeby krety roli nie psuły”. Z ustawionych w kątach chaty snopów panny wyciągały kłosy: zielony — słoń w Zapuszty, złoty — staropanieństwo, rzuciły kłosem na ścianę: przylgnęła — dobre nowiny, odpadła — gorsze.

Wigilijna „gwiazdka” otrzymywana nie tylko najbliższymi członkami rodziny, ale także domowe zwierzęta — bliźsze tego dnia bardziej, bo gadające. Zjadały więc wtedy specjalnie pieczony chleb, poświęcony sianu, komentując wydarzenie odpowiednio — po ludzku... Psu wynoszono po kęsku z każdej wigilijnej potrawy i nie zapomniano nawet o rybach, które dostawały, wrzucane do jeziora, kluski z makiem.

Na Pomorzu istniał zwyczaj rzucać grochem, a także poetyckie misterium wypraszenia urodzaju od drzew owocowych przez dotknięcie pnia małym dzwonkiem. Zwyczaj nakazywał prosić drzewa o północy, niekiedy w samej białiznie. Na terenach zamieszkałych przez ludność białoruską lepiono z ciasta „nowe latka”, czyli figurki w kształcie drzewek, cieląt, koni i kur, wszystko z myślą o dostatku w zagrodzie, o pełnej misce i bogatym kufrze. W Wigilię obowiązywał również surowy zakaz szycia i przedzenia, utrzy-

mywany aż do Nowego Roku.

Dzień poprzedzający Nowy Rok był przede wszystkim dniem meteorologicznych prognoz. Wróżono: Nowy Rok pogodny — zbiór będzie dorodny. Gdy na Nowy Rok jasno — w gumnach będzie ciasno. Gdy Nowy Rok mglisty — zboże zjedzą glisty. Nierzadko też, za pięć dwunasta, urządzano we wsi wielki hałas walić, tłukać i strzelając na wiat. W noworoczną noc zdarzały się cuda — a to „coś” wyniosło drabinasty wóz na dach stodoły (bywało, że i z koniem), a to komin zatkało lub przynajmniej sadzą wysmarowało okna.

Od Wigilii do Wielkiego Postu trwała i trwa na wsiach i w miasteczkach kołęda. Jednym z jej widowiskowych elementów są kołędnicy, czyli szopka z Herodem, Śmiercią, Żydem i Diabłem na planie pierwszym, a także „chodzenie z gwiazdą” lub turoniem, o którym wiadomo, że „Dzieje się to sposobem: dwóch parobków trzyma na powrozie trzeciego, przebranego za tura, z paszczką umyślnie z drzewa tak zrobioną, że może się za pomocą rąk otwierać i zamykać; w paszczę język z czerwonego sukna, pod szczęką zaś gęsta broda, a przy niej dzwonek mały. Muzyka złożona ze skrzypki i basisty przegrywa; tur się wydiera, kłapie paszczą i inne płata figle”. Równie chętnie, jak z turoniem, chodzono z kozą i niedźwiedziem, które służyły rozerwaniu się, ale nie tylko. Pobudzając wyobraźnię we wspólnej zabawie, pełniły ważne, dziś ledwie przezuwane, funkcje magiczne.

PRZEPOWIEDNIE

Najbliższy koniec świata przepowiada się na 5 maja 2000 r. Tego dnia, według obliczeń astronomów, planety Merkury, Wenus, Ziemia,

Mars, Jowisz, Saturn i Księżyc ustawia się w linii prostej po obu stronach Słońca. Dotychczas w naszym tysiącleciu mieliśmy już jedenaście końców świata, ostatni — 5 lutego 1962 r.



Osobliwością doliny Issy jest większa niż gdzie indziej ilość diabłów. Być może spoćniacie wierzy, młyn, haszcze na brzegach są szczególnie wygodne dla istot, które ukazują się oczom ludzkim tylko wtedy, kiedy same sobie tego życzą. Ci, co je widzieli, mówią, że diabeł jest nieduży, wzrostu dziesięcioletniego dziecka, że nosi zielony fraczek, za-
bót, włosy splecione w harcap, białe pończochy i przy pomocy pantofli na wysokich obcasach stara się ukryć kopyta, których się wstydzi. Do tych opowiadań trzeba się odnieść z pewną ostrożnością. Jest prawdopodobne, że diabły znając zabobony podziw ludności dla Niemców — ludzi handlu, wynalazków i nauki — starają się sobie dodać powagi, ubierając się jak Immanuel Kant z Królewca. Nie darmo inna nazwa nieczystej siły jest nad Issą „Niemczyk” — oznaczająca, że diabeł jest po stronie postępu. Jednak trudno przypuścić, żeby nosili taki strój na co dzień. Na przykład ulubioną ich zabawą jest tańczyć w osieciach pustych szop, gdzie mieli się len, stojących zwykle na uboju od zabudowań: jakże mogłyby we frakach

wzbijać kłęby kurzu i paździerzy, nie troszcząc się o zachowanie przyzwoitego wyglądu? I dlaczego, jeżeli dany jest im jakiś rodzaj nieśmiertelności, miały wybrać właśnie strój z osiemnastego wieku? Nie wiadomo właściwie do jakiego stopnia mogą zmieniać postać. Kiedy dziewczyna zapala dwie świece w wigilię świętego Andrzeja i patrzy w lustro, może zobaczyć przy-

DOLINA ISSY

szłość: twarz mężczyzny, z którym związane będzie jej życie, czasem twarz śmierci. Czy to diabeł tak się przebiera, czy działają tutaj inne magiczne moce? I jak odróżnić istoty, które zjawiały się tutaj z nastaniem chrześcijaństwa od innych, dawnych tubylców: od leśnej czarownicy, która zamienia dzieci w kołyskach, czy od maleńkich ludzi, wychodzących nocą ze swoich pałacyków pod ko-
rzeniami czarnego bzu? Czy diabły i te różne inne stwory mają ze sobą jakieś porozumienie, czy też po prostu są obok siebie, jak są obok siebie sójki, wróble i wrony? I gdzie

jest kraina, do której chronią się i jedne, i drugie, kiedy głębie gniołają gąsienice czołgów, kiedy nad rzeką kopią sobie płytkie groby ci, co mają być rozstrzelani, a wśród krwi i lez, w aureoli Historii, wchodzi uprzemysłowienie? Czy można sobie wyobrazić jakiś sejm w pieczarach, głęboko we wnętrzu ziemi, gdzie jest już gorąco od ognia płynnego centrum planety, sejm, na którym

setki tysięcy małych diabłów we frakach, poważnie i ze smutkiem, słuchają mówców, reprezentujących komitet centralny piekieł? Oto mówcy obwieszczają, że w interesie sprawy skończone jest hasanie po lasach i łąkach, że moment wymaga innych środków i że wysoko kwalifikowani specjaliści działają będą już tak, żeby ich obecności nie podejrzewał umysł śmiertelnych. Rozlegają się oklaski, ale wymuszone, bo obecni już rozumieją, że byli potrzebni tylko w okresie przygotowawczym, że postęp zamyka ich w ponurych czeluściach i że nie zoba-

czą już zachodów słońca, lotu zimorodków, iskrzących się gwiazd, wszelkich cudów nieobjętego świata.

Rolnicy nad Issą stawiali na progach chaty miseczkę z mlekiem dla łagodnych węzów wodnych, które nie bały się ludzi. Potem stali się gorliwymi katolikami i obecność diabła przypomnieli im o walce, jaka się toczy o ostateczne panowanie nad duszą ludzką. Czym staną się jutro? Opowiadając nie wie się, jaki wybrać czas, terazniejszy czy przeszły, jakby to, co minęło, nie było całkowicie minione dopóki trwa, w pamięci pokoleń — czy tylko jednego kronikarza.

Może diabły upodobały sobie Issę ze względu na jej wodę? Mówi się, że ta ma właściwości wpływające na usposobienie ludzi, jacy się rodzą nad jej brzegami. Są skłonni do zachowania się ekscentrycznego, dalecy od spokoju, a ich niebieskie oczy, jasne włosy i nieco ościęta budowa są złudnym tylko pozorem nordyckiego zdrowia.

CZESŁAW MIŁOŻ

Fragment powieści pod tym samym tytułem.

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY